

198.497

Włodaniewicz

✓

OBRONA
SOKRATESA

2900

1/10
5.

PLATONA

OBRONA SOKRATESA

PRZEŁOŻYŁ, WSTĘPEM, OBJAŚNIE-
NIAMI I ILUSTRACJAMI OPATRZYŁ
WŁADYSŁAW WITWICKI

WYDANIE DRUGIE



LWÓW — WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZ. SZKÓŁ WYŻSZYCH
MCMXXIII

II. 198. 497



ODBITO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFJA“ WE LWOWIE

WSTĘP

Ostatni triumf odniosły Ateny nad Spartą na morzu koło wysp Arginuzów niedaleko Lesbos w r. 406. Nieszczęście chciało jednak, że zwycięskim dowódcom floty ateńskiej burza nie pozwoliła pozbierać i pochować trupów, jakie na falach po bitwie zostały, zaczem ich po powrocie do Aten oskarżono i rzecz przyszła pod obrady Zgromadzenia ludowego, które się prawie co tygodnia w stolicy zbierało i załatwiała wszystkie ważniejsze kwestje publiczne.

Sprawa była ważna. W grze były i religijne uczucia ludu i patriotyczne. Zwłoki zwycięskich obrońców ojczyzny roznosiły mewy z Lesbos; więc dusze ich nie mogły spokojnie odpłynąć do Wysp Szczęśliwych i hańba spadała na miasto.

Zgromadzenie było bardzo burzliwe. Padł wniosek, żeby wszystkich wodzów sądzić za jednym zachodem i rozstrzygać sprawę en bloc. Wniosek nie był w zgodzie z prawem, które nakazywało rozsądzać sprawę każdego z osobna, ale był popularny: tylko nie robić różnic za wiele, ambicja patrio-

STRÓŻ PRA-
WA PRZECIW
BEZPRAWIU
PRAWODAW-
CÓW

tyczna wymagała ofiar. Sprzeciwić się wnioskowi, znaczyło narażać się na zarzut zdrady stanu.

A jednak powstał na tem Zgromadzeniu przewodniczący mu owego dnia obywatel, człowiek ubogi, stary i ośmieszony publicznie, choć niezmiernie szanowany przez najbliższych duchem i młodzież, Sokrates i nie dopuścił do uchwalenia wniosku, mimo okrzyków tłumu i głośnych zarzutów zdrady. Sta-nęło na tem, że sprawę odroczoneo do drugiego dnia. Na drugi dzień przewodniczącym wylosowano już kogo innego, uchwalono wniosek wczorajszy i sze-ściu obecnych w Atenach wodzów floty ukarano śmiercią, a dobra ich skonfiskowano.

Na to już Sokrates poradzić nie mógł. Był już tylko zwyczajnym prytanem, to zn. urzędującym przez 36 dni wraz z 49 innymi obywatelami, członkiem Wielkiej Rady.

PRYTANIJE

Pięciuset członków Wielkiej Rady wybierano lo- sem co roku, po pięćdziesiątce w każdej z dziesięciu grup obywateli ateńskich. Wylosowanym mógł być każdy, kto tylko skończył 30 lat życia i miał pełne prawa obywatelskie. Wedle losu też urzędowały po- szczególne pięćdziesiątki kolejno przez 35 lub 36 dni każda. Urzędujący za każdym razem obywatele na-zywali się prythanami. Siedzieli cały dzień w t. zw. okrągłym domu pod kopułką, gotowi do rozstrzy- gania wszystkich nagłych i pomniejszych spraw państwowych. Większe musiały czekać do Zgroma- dzenia ludowego, które się odbywało conajmniej 40 razy w roku. Z pośród prythanów znowu losem wybierano codziennie innego przewodniczącego, który

przez jedną dobę miał pod opieką klucze od skarbcza i archiwum państwowego, oraz wielką pieczęć miasta. Dłużej niż dobę prawo nie pozwalało zachowywać tej godności, a podobnie nie było wolno dwa razy być przewodniczącym w ciągu jednej i tej samej kadencji, czyli prytańi.

Tak troskliwie broniły się Ateny przeciw wszelkim próbom skupienia i zatrzymania władzy w rękę jednego człowieka lub jakiegokolwiek grupy jednostek, choćby nawet najlepszych i najzdolniejszych.

Demokracja ateńska musiała się pilnować tem bardziej, że w mieście były grupki i kluby ludzi młodych, którzy z ironją i pogardą patrzyli na tych wylosowywanych rajców, sędziów, wodzów i ojców ojczyzny, a sympatyzowali ze Spartą, w której nie rządził „ktobądz”. Wiedziano w Atenach, kto to tak krytycznie nastraja młodych ludzi, kto spędza ranki w salach gimnastycznych na mędrkowaniu z młodymi, którzy nie filozofować powinni, ale szanować istniejący ustroj ojczysty i służyć mu bezkrytycznie. Sokrates nawet się nie krył z pochwałami dla ustroju państwowego Sparty, Teb, Megary, Krety; samych arystokratycznie urządzonych państw. Żarliwi demokraci ateńscy mieli na niego oko już od dawna. Blisko ćwierć wieku minęło, kiedy go po raz pierwszy Arystofanes pokazał w swoich Chmurach w r. 423 i napiętnował jako figurę komiczną, bezgranicznie zarozumiałą a gorszącą młodzież, jako szkodnika w ojczyźnie.

Pamiętali wszyscy, jak to w owych Chmurach ordynarny i z chytra głupawy szewc, Wykrętowic,

FERMENT
INTELEKTU-
ALISTYCZNY

SOKRATES
W ZWIERCIE-
DLE KOMEDI

któremu bóg dał z żony arystokratki syna sportsmena i utracjusza, pragnie się pozbyć długów; wlaź w nie przez rozrzutność syna. Stara się namówić gagatka, żeby poszedł na naukę do Pomysłowni Sokratesa, budy, w której mędrzec, z gromadą obdartych i wygłodniałych uczniów, bada przesubtelnym rozumem tajemnice ziemi i nieba, słońca, księżyca, deszczu i piorunów. Uwieszony pod sufitem w koszu, gdzie powietrze rzadsze korzystniej wpływa na jego przedelikatny mózg, nie uznaje bogów ojczystych; jego bogami chmury, tak mętne i nieuchwytnie, jak i jego gadanie.

Szewc odżałowałby na naukę, ale syn nie chce o niej słyszeć; zaczem ojciec sam się do Pomysłowni puszcza i oddaje się filozofowi na naukę, niby bydlę ofiarne na rzeź. Za głupi jednak, więc go z Pomysłowni pędzą, a syn daje się przeciw do wstąpienia namówić i wraca taki „wykształcony“, że, obiwszy rodzzonego ojca w pierwszej z kolei sprzeczce, dowodzi jeszcze ze stanowiska ogólnego, że najśluszniej w świecie postąpił.

Zrozumiał szewc, że mu nowoczesny mędrzec syna popsuł; zbiera tedy sługi i podpala Pomysłownię wraz z jej mieszkańcami.

W tej komedji popularnej Sokrates otrzymał rysy karykaturalne, których nigdy nie miał w rzeczywistości, ale na tem się nie umiał poznać pierwszy lepszy członek Wielkiej Rady i Zgromadzenia ludowego; tem bardziej, że widywał Sokratesa częściej na scenie w komedjach Ameipsiasa, Eupolisa, Kratinosa, które się nie dochowały do naszych czasów.

Sokrates nie miał przecież instytutu wychowawczego, jak je z reguły mieli uczeni współcześni i nie pobierał żadnych taks za naukę. Taksy brał taki np. Gorgjasz z Leontinjów, kiedy pomyślnie załatwiwszy w Atenach poselstwo od swego miasta rodzinnego (prosił o pomoc przeciw Syrakuzom), przyjął szereg prywatnych lekcji wymowy po 100 min srebrem czyli po 9000 franków, co przy ówczesnych niezmiernie niskich cenach i wysokiej stopie procentowej stanowiło gruby majątek.

HONORARJA
WYCHOWAW-
CÓW

Brał piękne honorarja Hippjasz z Elis, który się sam chwalił, że przyjechawszy do Sycylii i zastawszy tam znacznie od siebie starszego i sławnego Protagorasa, w krótkim czasie zarobił lekcjami 150 min, czyli co najmniej 13.500 franków, a z jednego jedynego miasteczka Inykos wywiózł więcej jak 20 min, czyli 1800 franków (Mina srebra miała sto drachm, a drachma odpowiadała mniej więcej frankowie). Tanio uczył retor i autor poetyki wierszowanej Euenos, który brał tylko 450 franków za naukę.

O bezinteresowności Sokratesa jednak wiedzieli przedewszystkiem najbliżsi; po mieście różnie musiano o tem mówić, bo czy to jeden chodzi bez butów a srebro trzyma w sienniku?

Sokrates odwodził młodych ludzi od studjów przyrodniczych, dla których zachowywał mimo to wielki szacunek, o ile je ktoś poważnie uprawiał, a zwracał umysły do kwestji psychologicznych, etycznych i społecznych; na tem właśnie polega jego rola w dziejach filozofji, ale o tem nie wiedziały szerokie koła; tym było dość obojętne to,

NIE ROZU-
MIANO GO
NA MIEŚCIE

co on mówi, chodziło o to, że „mędrkować“ uczy po mieście, a to rzecz niebezpieczna.

Sokrates rozumował niezmiernie jasno i prosto, ale z tego zdawali sobie sprawę tylko ci, którzy go słuchali i rozumieli, a nie „szerokie koła“.

Sokrates miał wysoko rozwinięte naturalne poczucie tego, co się godzi i nie godzi np. w stosunku do rodziców, w przeciwstawieniu do Eutyfronów różnego rodzaju, ale i o tem żeby wiedzieć, trzeba go było znać bezpośrednio, a nie tylko ze słuchu i nie wnosić o nauczycielu z postępowania jego młodych przyjaciół. Ci go niekiedy kompromitowali.

NAJBLIŻSI GO
KOMPROMI-
TOWALI

Wszyscy jeszcze pamiętali ów ranek przed laty piętnastu, kiedy zauważono ku publicznemu zgorzzeniu i zgrozie, jak fatalnie a humorystycznie ktoś, niestary widać, a bezbożny, poobłukiwał w nocy wszystkie posągi Hermesa wzdłuż ulic miejskich. Powszechny głos opinii publicznej wskazywał wtedy Alkibiadesa jako sprawcę świętokradztwa. Ten niedowiarek, zdolny „do wszystkiego“, urządzał sobie przecież w domu na żart misterja eleuzyńskie, a należał do najserdeczniejszych przyjaciół i czcicieli „ulicznego sofisty“ Sokratesa.

W jego towarzystwie widywano nieraz i strasznej pamięci Kritiasa, który przed paru laty, jako najwybitniejszy z pośród trzydziestu arystokratów, próbował cios śmiertelny wymierzyć demokracji ateńskiej z pomocą znieawidzonej Sparty. Pamiętano dobrze, jak ten, były dobry znajomy Sokratesa, na prawo i na lewo rozsyłał wyroki śmierci i konfiskaty dóbr na dobrych demokratów; wiedziano, ilu ludzi padło

za jego sprawą, ilu poszło z torbami w tych okropnych ośmiu miesiącach przed czterema laty, kiedy na Akropolis siedział dowódca spartański z załogą, a co było najlepszego w mieście, musiało do Beocji uciekać i tam gotować po cichu odsiecz przeciwko Trzydziestce.

Odsiecz powiodła się na szczęście pod dowództwem Thrasybulosa; od strony portu wzięło miasto z powrotem i Kritias padł w walce. Reszta osławionej Trzydziestki ledwie z życiem uszła pod skrzydła Sparty.

I znowu zaczęły się odbywać Zgromadzenia ludowe na Pnyksie i sądy przysięgłych w rynku, a w okrągłym domu urzędowali znowu, jak dawniej, prytni. W mieście zaczęło się załatwianie prywatnych porachunków i donosicielstwo polityczne, pod pozorem dbania o dobro państwa.

Sokrates nie był skompromitowany bezpośrednio; wiadano, jak dzielnie stawał przed dwudziestu dwu laty jako hoplita w bitwie pod Amfipolis, pod dowództwem wojowniczego garbarza Kleona, przeciw wojskom spartańskim, a dwa lata przedtem przeciw Beotom, koło świątyni Apollina pod Deljon — poza tem, on się wogóle do polityki nie mieszał, ale i tę okoliczność umiały złe języki przeciw niemu wyzyskać.

Sokrates nie umiał „żyć z ludźmi“, szczególnie

POGRAŻAŁ
SIĘ SAM Z KO-
NIECZNOŚCI

Wiedział o tem, jak na niego patrzają, ale postępowania nie zmienił. W dalszym ciągu, jak za dawnych czasów, nawiązywał swoje klasyczne rozmowy z fachowcami, obliczone przeważnie na to, żeby z interlokutora wydobyć uznanie własnej niewiedzy. Postępowanie bardzo miłe i pożyteczne, o ile chodzi o rozbudzanie myśli w młodym, zdolnym człowieku, ale nieznośne i niebezpieczne, o ile się ma do czynienia z tępym, starym i szanowanym obywatelem, który ma wpływy.

To była jednak nieprzyzwyczajona pasja Sokratesa. On sam, umysł niezmiernie jasny, prosty i krytyczny, z łatwością zdawał sobie sprawę z ogromnych trudności, jakie się następują każdemu, kto szuka trafnego uogólnienia w jakiejkolwiek dziedzinie faktów, kto uogólnienia zdobyte usiłuje ściśle w słowa ująć i pogodzić je między sobą.

Stąd też głośno się przed wszystkimi do tego przyznawał, że w sprawach dotyczących ducha ludzkiego, w rzeczach dobra i zła on tyle tylko wie, że „nic nie wie“. Z tego był sławny.

To powiedzenie obiegało jako zabawny paradoks. A musiało być znane już oddawna i kapłanom Apollina w Delfach i musiało się im podobać, skoro na zapytanie narwanego nieco wielbiciela Sokratesa Chajrefonta, czy istniałby ktoś mądrzejszy od mędrca, który wiedział, że nic nie wie, ułożyli odpowiedź bóstwa, niewiadomo, czy zupełnie poważnie zamierzoną:

Sofokles mądry jest; mądrzejszy Euripides

A z pośród wszystkich ludzi Sokrates najmądrzejszy.

Ta pochwała delficka stała się Sokratesowi bodźcem do budzenia samokrytyki w ludziach, pracy bardzo niewdzięcznej.

Praca ta wydawała mu się jednak piękną i dobrą, działaniem w imię światła i zdrowia duchowego, a więc, służbą Apollina.

Taką przenośnią postulował się w myśleniu i w mowie, ale nie wynikało z tego, żeby wierzył we wszystkie ludowe podania o Apollinie. Prawowiernym Grekiem nie był, antropomorfizmów popularnych nie brał serjo, ale był człowiekiem głęboko religijnym z natury, bo odczuwał nad sobą moc wyższą, potężną i dobrą, której się czuł pomocnikiem i narzędziem.

Wszystko jedno, czy tę moc ktoś Apollinem nazywał, czy Dzeusem ojcem, czy ją sobie jako chór olimpijski przedstawiał, czy też raczej jako jedną jedyną istotę.

Niczego bliższego o bogach nie wiedział i wiedział, że wiedzieć nie mógł, więc się nie bawił w dociekania religijne, szukał tylko pogłębienia uczuć religijnych.

Boski głos ducha bożego czuł w sobie samym, za przestrogi ducha opiekuńczego uważał nieuzasadnione bliżej chwilowe postanowienia woli, które się w skutkach okazywały nieraz pożyteczne.

Mówił o tem często i wiedziano w Atenach, że Sokrates ciągle się na jakiegoś ducha powołuje, a wiadomo było bliżej, co to za duch miał być właściwie.

Wszystko razem pachło mocno niedowiarstwem, jak to zwyczajnie u filozofów, a mogło też uchodzić za oczywiste zgorwienie młodzieży.

NAJBARDZIEJ
RELIGIJNY
CZŁOWIEK
W KOLIZJI
Z RELIGIĄ
PAŃSTWA

OSKARŻENIE

Toteż, kiedy szło o pozbycie się Sokratesa i przykładne ukaranie jego działalności, niedługo się musieli jego oskarżyciele namyślać, o coby go zaczepić i jak oskarżenie sformułować.

Moralnym autorem skargi był Anytos, wzbogacony garbarz ateński, który miał dawne porachunki z filozofem i jego najbliższymi. Przed laty umizgał się do Alkibiadesa, ale go ten elegant wyśmiał.

Później robił Anytos karierę polityczną w Atenach i miał duże powodzenie. W roku 409 przed Chr. wysłały go nawet Ateny na czele floty, z trzydziestu okrętów złożonej, przeciw Spartanom, którzy się byli wyprawili przeciw Pylos. Nie udało mu się jednak opłynąć przylądka Malea, zczem wrócił do Aten, gdzie go zaraz oskarżono o zdradę. Anytos umiał sobie radzić w gmachu sądowym lepiej, niż na pełnym morzu. Przekupił, po prostu, sędziów i przysięgli uwolnili go od winy i kary.

Za rządów trzydziestu tyranów poszedł wraz z innymi obywatelami na wygnanie a z Trazybulem wrócił do Aten. Syna chował na garbarza, ale chłopak miał być bardzo zdolny i ciekawy i za Sokratesem biegał, zamiast pilnować juchtów i dębowej kory. Sokrates nie krył się z tem przed Anytosem, że garbarnia nie jest całkiem idealną szkołą dla młodych umysłów i serc, czem sobie ostatecznie zraził przemysłowca. Obrażony Anytos zapłacił mizernego poetę Meletosa, autora jakiejś zaginionej tragedji p. t. Oidipodeia, żeby się zajął sformułowaniem i wniesieniem skargi przeciw Sokratesowi. Sam podpisał ją wraz z retorem Lykonem.

Tekst zaprzysiężonego oskarżenia, który miał być jeszcze w drugim wieku po Chr. przechowywany w ateńskim archiwum państwowem w świątyni Kybeli, zwanej Metroon, brzmiał:

O to zaskarżył pod przysięgą Meletos, syn Meletosa z Pittos, Sokratesa syna Sofroniska z Alopeków: Zbrodnię popełnia Sokrates, bogów, których państwo uznaje, nie uznając, inne zaś nowe duchy wprowadzając; zbrodnię też popełnia, psując młodzież. Kara śmierci.

Jak widać oskarżyciel, zgodnie z prawem ateńskim, przedłożył w skardze projekt kary.

Jeżeli oskarżonego większością głosów uznano winnym, mógł oskarżony albo przyjąć karę proponowaną, albo ze swej strony przedstawić projekt innej, któraby mu więcej odpowiadała. W tej sprawie wolno mu było, po nieudanej obronie i zapadłym werdykcie „winien“, przemawiać raz jeszcze i odpowiedni wniosek uzasadniać. Po tej drugiej mowie, sędziowie większością głosów rozstrzygali, czy miała być wykonana kara, którą proponował oskarżyciel, czy ta, którą wolał oskarżony. Tak też i Sokrates przemawiał w swej obronie po raz pierwszy przed werdyktem w sprawie winy, po raz drugi po werdykcie, podając wniosek dotyczący kary i króciutko po raz trzeci, żegnając się ze sędziami po wyroku śmierci.

Sąd przysięgłych, przed którym stawał Sokrates, nazywał się Helijaija, a składał się z pięciuset, losem wybranych sędziów. Losowano ich corocznie z po-

ROZPRAWA

śróđ wszystkich, co najmniej trzydziestoletnich, obywateli. Rozprawa odbywała się w jednym z dziesięciu trybunałów w rynku. Każdy z sędziów miał jako oznakę swego urzędu laskę z literą danego trybunału i brązową odznakę z głową Gorgony, jako herbem państwa, numerem danego trybunału i nazwiskiem sędziego. Po skończonem posiedzeniu otrzymywał każdy sędzia, przy wyjściu z trybunału, takse sądową w kwocie trzech oboli, czyli mniejwięcej pół przedwojennego franka, z kasy państwowej.

* Apelacji od wyroku tego sądu nie było w sprawach wykroczeń przeciwko państwu, a o to właśnie był oskarżony Sokrates.

Rozprawę poprzedzało śledztwo wstępne, które prowadził Archon Król. Tekst skargi wisiał czas jakiś na tabliczce przed gmachem sądowym. W oznaczonym terminie jawili się oskarżyciel i oskarżony w sądzie, ewentualnie w towarzystwie świadków i obaj składali przysięgę. Pierwszy stwierdzał w ten sposób winę oskarżonego, a ten znowu swoją niewinność. Obaj składali teraz pewną takse na koszt sądowe i przedkładali w danym razie pisemne dowody winy, względnie niewinności. Wszystkie należące do procesu dokumenty przechowywano pod pieczęcią aż do dnia rozprawy.

Na samej rozprawie, naprzód pisarz odczytywał tekst skargi i odpowiedź oskarżonego, poczem z podniesionej mownicy przemawiali oskarżyciele i odpowiadał im stamtąd oskarżony.

Czas przemówień był ograniczony; mierzono go z pomocą klepsydry, czyli zegaru wodnego. Strony

mogły bądź to przemawiać osobiście, bądź też po kilku słowach nawiązania, odstępowały swój głos adwokatowi.

Przerywać mowcy mogli tylko sędziowie, jeżeli strona odbiegała od tematu, albo też punkt jakiś przemówienia nie był któremu z sędziów dość jasny. Każdy mowca mógł stawiać przeciwnikowi pytania, a ten był prawnie obowiązany odpowiadać.

Zrazu zakazane, utarło się jednak z czasem, wprowadzanie na salę rodziców, krewnych, kobiet i dzieci, których jęki, płacze i błagania miały miękzyć twarde serca sędziów. Oskarżony, jeśli był sprytny, umiał też i sam odpowiednio grać na nerwach trybunału.

Bezpośrednio po obronie oskarżonego przystępowali sędziowie na wezwanie woźnego do tajnego głosowania nad winą podsądnego. Głosowano zapomocą czarnych i białych lub pełnych i przedziurawionych kamyków, muszel, bobów lub tabliczek, które wrzucano do urny z brązu, podczas gdy znaczki nieważne wrzucano do urny drewnianej. Głosy liczono na stole kamiennym; rozstrzygała większość absolutna. W razie równości głosów szala przechylała się tem samem na korzyść oskarżonego.

Jeśli oskarżyciel nie miał po swojej stronie przynajmniej piątej części głosów, musiał swą lekkomyślną skargę odpokutować grzywną tysiąca drachm i tracił na przyszłość prawo do wnoszenia skarg w sprawach podobnego rodzaju.

Wykonanie i dopilnowanie kary było w procesach państwowych obowiązkiem t. zw. jedenastki,

t. zn. dziesięciu obywateli, wybranych po jednym z każdej grupy ateńskiej i pisarza, którzy mieli w swem ręku nadzór nad więzieniami. W ich mocy był podsądny od chwili wyroku w sprawie kary.

Wprawdzie „Obrona Sokratesa“ była tematem licznych studjów i wypracowań retorycznych po śmierci filozofa i stądby się nasuwać mogło podejrzenie, czy i rzecz Platona nie jest własnym wymysłem autora, dalekim od autentycznych słów Sokratesa, to jednak szereg okoliczności zdaje się przemawiać za tem, że to nie wolny wymysł, ale zbliżona do rzeczywistości pamięciowa reprodukcja obrony, wypowiedzianej naprawdę; reprodukcja pisana ręką artysty.

Naprzód bowiem Plato był na rozprawie i sły-
szał obronę, którą Sokrates wypowiedział oso-
biście.

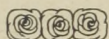
Zatem mógł ją powtórzyć względnie wiernie; pamięć miał doskonałą, a naśladować styl indywidualny umiał znakomicie. Sokrates w „Obronie“ nie przemawia stylem literackim, tylko właściwym sobie gawędziarskim językiem codziennym. Rzecz cała pisana z wyraźnym realizmem, z chęcią dania żywego, konkretnego obrazu obrony, a nie z zamiarem przeprowadzenia pewnej tezy za każdą cenę. Po przeczytaniu tej rzeczy rozumie czytelnik, dlaczego Sokratesa skazano i mniej się dziwi sędziom, chociaż ich nie pochwała. Sokrates jest w swej „Obronie“ żywym człowiekiem z krwi i kości, a nie wzniosłą a papierową postacią idealną. Słyszy się w nim grę uczuć: dumy, zawziętości, ironji, pogardy, osamotnienia, goryczy,

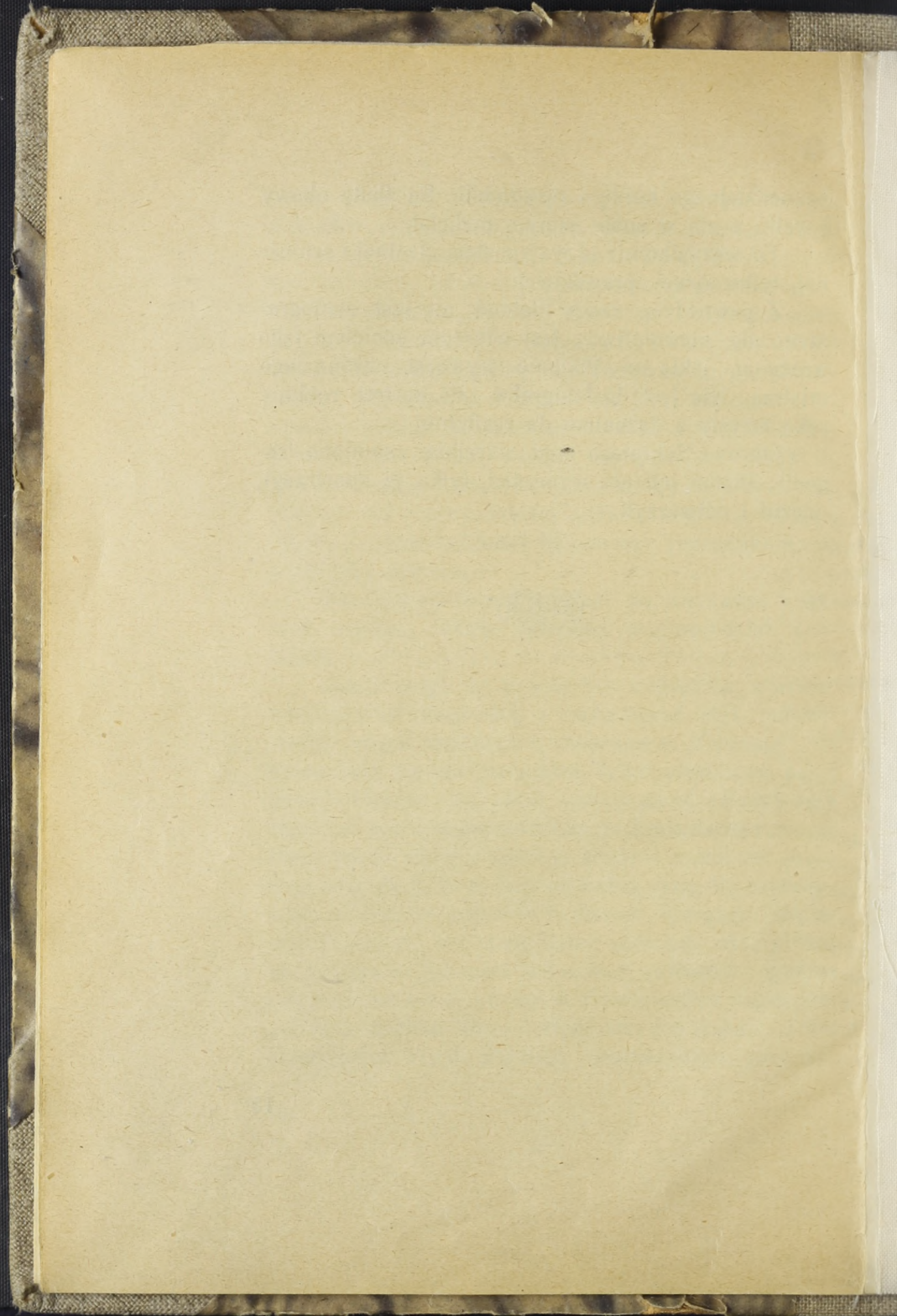
beznadziejnego buntu i rezygnacji. Są ślady obawy i walki z nią w sobie samym podjętej.

To wszystko nie są rysy postaci idealnej i sztucznej, tylko żywej, prawdziwej.

Z pewnością, rzecz Platona nie jest stenogramem, ale, niewątpliwie, jest wiernem odbiciem tego wrażenia, jakie na Platonie wywarła obrona jego mistrza. Nie jest to fotografia, ale portret, robiony ręką artysty z dążeniem do realizmu.

Obrona Sokratesa nosi wszelkie znamiona tragedji; Platon ich nie wymyślał, tylko je spostrzegł, odczuł i odtworzył.





PRELUDJUM

„Nie znasz go bliżej — to nic nie szkodzi. Zato my go dobrze znamy. W każdym razie wiesz, że to nie jest „nasz człowiek“ i trzeba go raz uprząć. Zatem „trzaśniesz go“. My już poniesiemy wszelkie koszty, podpiszemy skargę i pomyślimy o reszcie. Ale rzecz musi być zrobiona gładko!“

Tak musiał mówić niedawno Anytos do Meletosa i rzecz została zrobiona tak gładko i sprawnie, że Sokrates ani się obejrzał, jak się znalazł u Archonta Króla. Nie wierzył, żeby się sprawa miała źle skończyć; znajomi najbliżsi żartowali z oskarżyciela i nie robili nawet prób, żeby go odpowiednią kwotą skłonić do odstąpienia od skargi. Mówiło się, że do procesu albo wogóle nie dojdzie, albo się Meletos na rozprawie tak ośmieszy, że sędziowie będą się wstydzili głosować za nim i niefortunny tragik skompromituje się w Atenach do reszty.

Do procesu jednak doszło. Sokrates dziś jeszcze szedł spokojny do sądu, nie przeczuwając nic złego. „Jakoś to będzie — myślał — a nie powinno być najgorzej. Bo, ostatecznie, skarga jest niesprawie-

dliwa tak, że nawet i ci na chybił trafił losowani sędziowie nie będą mieli odwagi i czola na śmierć skazywać starca, który i tak nad grobem stoi, a żadnej zbrodni w życiu nie popełnił“.

Z zajęciem słuchał mów oskarżycieli, ale i z rosnącym zdumieniem. Że też można go w ten sposób malować. Toż on w ich mowach wyglądał na potwornie czarny charakter, zdrajcę, sofistę i retora „tembardziej niebezpiecznego dla ojczyzny i wiary, że się kryje pod płaszczkiem prostoty i fałszywej skromności. Wszystko w nim na to tylko obliczone, żeby jadem sceptycyzmu zakazać młode dusze, żeby dezorganizować społeczeństwo i zatruwać ducha narodowego.

Potrzeba raz przeciąć ten ropiący wrzód intelektualizmu i myślicielstwa, oczyścić raz moralną atmosferę w znękaney ojczyźnie, uratować od zgorznięcia to, co jeszcze mamy najdroższego: tę młodzię naszą ukochaną, ten kwiat i nadzieję narodu.

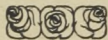
Jedno tylko lekarstwo na to zło straszne, bo zło moralne: wyrwać je z korzeniem, ukarać przykładnie tego zdrajcę, który od pół wieku kopie grób własnej ojczyźnie i bogom rodzinnym, a kopie go w sercach młodego pokolenia.

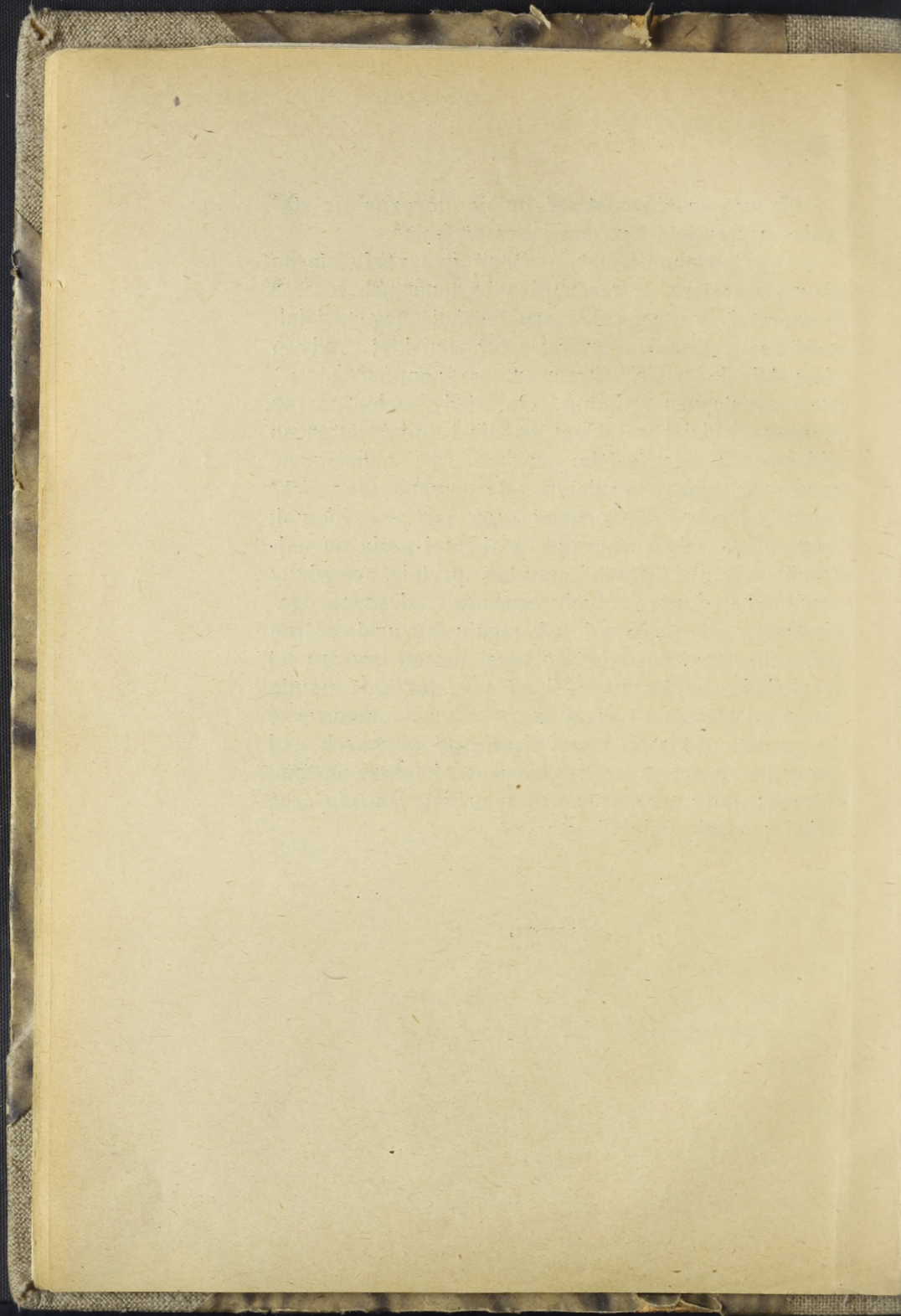
Lepiej, żeby jeden winny poniósł nagłą śmierć cielesną, niż żeby się moralnie a powoli truć miały tysiące.

Upada w naszych czasach wszelki autorytet — młodzież dzisiejsza nie szanuje, ani bogów, ani ludzi, ani państwa, ani krwi, ani obyczajów przodków, a kto temu winien?...

Rzecz sędziów patrzeć, by się ojczyzna nie staczała w przepaść bez dna i bez wyjścia“.

Tym podobne kwiaty i apostrofy sypały się na głowę Sokratesa w trzech różnych tonacjach i coraz to czarniej występowała jego postać i jego działalność na tle jasnej, szczerzej, staroateńskiej tradycji ojczystej tak, że się Sokratesowi przypomniły pierwsze przedstawienia Chmur. On wtedy siebie po raz pierwszy widział w takim świetle i śmiał się z tego widoku lat dwadzieścia cztery, dziś oglądał się znowu w tem oświetleniu, ale czyżby nie poraz ostatni, bo w audytorjum cisza jak w świątyni; tłum ulega łatwo sugestji, a ci trzej grają na najdrażliwszych uczuciach tłumu tak sprytnie, że, gdyby sam był jednym z tych baranów sądzących, gotówby i sam uwierzyć oskarżeniu i rzucić czarną gałkę do urny. On wie, że musi już od szeregu lat wyglądać szerokiemu ogółowi tak, jak go malują teraz oskarżyciele, zaczyna po trochę przeczuwać że go dziś osaczono i przypierają go we trzech nad brzeg przepaści. Zaczyna przeczuwać dobrze ułożoną intrygę; widzi uprzedzenie audytorjum. Ale oto czas mówić; wstaje tedy i zaczyna.





OBRONA
SOKRATESA

THE
LIBRARY



Jakieście wy, obywatele, odebrali wrażenie od I
moich oskarżycieli, tego nie wiem; bo i ja sam
przy nich omal, żem się nie zapomniał; tak prze-
konująco mówili. Chociaż znowu prawdziwego,
powiem poprostu, nic nie powiedzieli. A naj-
więcej mnie u nich jedno zadziwiło z tych wielu
kłamstw, jak to mówili, że wyście się powinni strzec,
abym ja was nie oszukał, bo doskonale umiem mó-
wić. To, że się nie wstydzi (toż ja zaraz czynem
obalę ich twierdzenie, kiedy się pokaże, że ja ani
trochę mówić nie umiem), to mi się wydało u nich
największą bezczelnością.

Chyba, że oni może tęgim mowcą nazywają tego,
co prawdę mówi. Bo jeżeli tak mówią, to jabym
się zgodził, że, tylko nie według nich, jestem mowcą.

Więc oni, jak ja mówię, bodaj że i słowa prawdy nie powiedzieli; wy dopiero odemnie usłyszycie całą prawdę.

Tylko serjo, na Dzeusa, obywatele: nie takie mowy przystrojone, jak te ich: zwrotami i wyrazami, ani ozdobione, ale usłyszycie proste słowa, wyrazy takie, jakie się nawiną.

Bo ja wierzę, że to sprawiedliwe, co mówię i niech się nikt z was czegoś innego nie spodziewa.

Przecieżby nawet nie wypadło, obywatele, że-
bym ja, w tym wieku, jak młodzik mówki układać przed was przychodził. Ale naprawdę ja bardzo was, obywatele, o to proszę i błagam: jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takimi samymi słowami, jakimi zwykle mówię i na rynku koło straganów, gdzie mnie niejednen z was słyszał, i gdziebądźindziej, nie dziwcie się i nie róbcie hałasów dlatego. Bo to tak jest: teraz ja pierwszy raz stoję przed sądem, a lat mam siedemdziesiąt; poprostu więc obcy mi jest tu-
tejszy język. Więc tak samo, jak gdybym naprawdę był z innych stron, to wybaczylibyście mi przecież, gdybym tamtym językiem i sposobem mówił, w jakichbym był wyrósł, otóż tak samo i teraz o tę was proszę sprawiedliwość, tak się to przynajmniej mnie przedstawia, żebyście mi darowali sposób mówienia — on tam będzie może gorszy, może lepszy — a na to tylko patrzyli i na to tylko zważali, czy ja słusznie mówię, czy nie; bo to jest zaleta sędziego, a mówcy: mówić prawdę.

II Więc naprzód moje prawo bronić się, obywatele, przeciw pierwszej fałszywej skardze na mnie

i przeciw pierwszym oskarżycielom; potem przeciwko drugiej i drugim.

Bo na mnie wielu skarżyło przed wami oddawna, i już od lat całych, a prawdy nic nie mówili; tych ja się boję więcej, niż tych koło Anytosa, chociaż i to ludzie straszni.

Ale tamci straszniejsi! Obywatele, oni niejednego z was już jako chłopaka brali do siebie, wmaiwiali w was i skarżyli na mnie, że jest taki jeden Sokrates, człowiek mądry, i na gwiazdach się rozumie i co pod ziemią, to on wszystko wybadał i ze słabszego zdania robi mocniejsze. Obywatele, to oni, to ci, co o mnie takie pogłoski porozsiewali, to są moi straszni oskarżyciele. Bo kto słyszy, ten myśli, że tacy badacze to nawet w bogów nie wierzą. A potem jest takich oskarżycieli wielu i już długi czas skarżą, a prócz tego, jeszcze w takim wieku do was mówią, w którymście uwierzyć mogli najłatwiej, dziećmi będąc, a niejeden z was wreszcie młodym chłopcem; poprostu, taka zaoczna skarga, bez żadnej obrony.

A ze wszystkiego najgłupsze to, że nawet nazwisk ich nie można znać, ani ich wymienić. Chyba, że przypadkiem który jest komedjopisarzem.

Jedni z zazdrości potwarzy w uszy wam nakładli, drudzy uwierzyli i z przekonania zrażają do mnie innych, a ze wszystkimi nieporadna godzina. Bo ani ich tutaj przed sąd nie można pociągnąć, ani rozumnie przekonać żadnego, tylko poprostu tak człowiek musi, niby z cieniami walczyć; broni się i zbija zarzuty, a nikt nie odpowiada.

Więc chcecie zważyć i wy, jak powiadam, że ja mam dwa rodzaje oskarżycieli: jedni, to ci, co wygłosili skargę dopiero, a drudzy dawniej; ci, o których mówię i przyznajcie, że ja się przeciwko tamtym muszę naprzód obronić. Przecież i wyście tamtych naprzód słuchali, jak skarżą, i o wiele więcej, niż tych, co później.

No tak; więc trzeba się bronić, obywatele, i trzeba próbować wyjąć wam z uszu potwarz, która tam długi czas siedziała, a wyjąć w tak krótkim czasie! No, jabym tam rad, żeby się to tak stało, jeśli to dobre dla was i dla mnie, i jeżeli się moja obrona na cokolwiek przyda. Ale myślę, że to trudna rzecz; ja trochę wiem, jak to jest.

A jednak, niech tak rzeczy idą, jak bóg zechce; prawa potrzeba słuchać i bronić się.

III Więc weźmy jeszcze raz od początku, cóż to za skarga, z której na mnie potwarz wyrosła, a Meletos jej uwierzył i wniósł na mnie to oskarżenie tutaj? Tak jest. Cóż tedy mawiali potwarcy? Jakby więc prawdziwe oskarżenie, trzeba ich zaprzysiężone słowa odczytać: Sokrates popełnia zbrodnię i dopuszcza się występku, badając rzeczy, ukryte pod ziemią i w niebie i ze słabszego zdania robiąc mocniejsze i drugich tego samego nauczając.

To coś będzie w tym rodzaju. Boście przecież i sami coś takiego widzieli w komedji Arystofanesa, jak się tam taki Sokrates huśta, a mówi, że chodzi po powietrzu i mnóstwo innych głupstw wygaduje, na których ja się nic a nic, ani w ogólności, ani

w szczególności nie rozumiem. I nie mówię tego, żebym chciał uwłaczać tego rodzaju wiedzy, jeżeli ktoś jest mądry w takich rzeczach (żeby mnie tylko znowu o to Meletos do sądu nie pozwał), ale mnie te kwestje, obywatele, nic a nic nie obchodzą. Na świadków biorę wielu z was samych, i myślę, że jeden drugiemu to wytłumaczy i powie: każdy z tych, którzyście kiedykolwiek słyszeli, jak rozmawiam! A takich wielu między wami. Więc powiedzcie jeden drugiemu, czy kiedykolwiek słyszał który z was, żebym ja w ogólności lub w szczególności rozmawiał o takich rzeczach? Widzicie więc, że tyle samo warte i wszystko inne, co o mnie tłum opowiada.

Więc ani na tem nic niema, ani, jeżelibyście słyszeli od kogoś, że ja biorę ludzi na wychowanie i robię na tem pieniądze, to także nieprawda. IV

Chociaż mnie się i to bardzo podoba, jeżeliby ktoś umiał ludzi wychowywać, jak np. Gorgjasz z Leontinjów i Prodikos z Keos i Hippjasz z Elis.

Obywatele, każdy z nich potrafi chodzić od miasta do miasta i namawia młodych ludzi, którzy mogą zadarmo przestawać, z kim tylko chcą ze swych współobywateli, żeby porzucili tamto towarzystwo, a obcowali z nimi; za to im się płaci pieniędzmi, a oprócz tego wdzięcznością.

A tu jest jeszcze inny taki obywatel z Paros, mędrzec; dowiedziałem się niedawno, że przyjechał, bom przypadkiem spotkał jednego obywatela, który zapłacił sofistom więcej pieniędzy, niż wszyscy inni razem, Kalljasza, syna Hipponika. Więc ja go za-

pytałem — bo on ma dwóch synów — „Kalljaszu, powiadam, jakby ci się tak byli twoi dwaj synowie żrebakami albo cielętami porodzili, to mybyśmy umieli wyszukać im kierownika i zgodzić go, żeby z nich zrobił piękne i dobre sztuki we właściwym im rodzaju zalet. I toby był albo jakiś człowiek od koni, albo od roli. No teraz, skoro są ludźmi, to kogo im zamyślasz wziąć na kierownika? Kto się tak rozumie na zaletach człowieka i obywatela? Myślę przecież, żeś ty się nad tem zastanowił, bo masz synów. Jest ktoś taki, mówię mu, czy nie?

A no, pewnie, powiada.

Któż taki, mówię, i skąd on i po czemu uczy?

Euenos, powiada, Sokratesie, ten z Paros, po pięć min.

A ja sobie pomyślałem: szczęśliwy ten Euenos, jeżeli on naprawdę posiada tę sztukę i tak ładnie uczy! Jabym się i sam chwalił i wysoko nosił, gdybym to umiał! Ale ja tego nie umiem, obywatelu!

V Więc może mi ktoś z was wpadnie w słowo i zapyta: Sokratesie, a twoja robota jaka właściwie? Skądże się wzięły te potwarze na ciebie?

Już też z pewnością, gdybyś się nie był, niby to, bawił w żadne nadzwyczajności, a żył jak każdy inny, nie byłiby cię ludzie tak oślawili, ani obgadali, skoro twoje zajęcia niczem nie odbijały od wszystkich innych ludzi. Więc powiedz nam, co jest, żebyśmy i my w twojej sprawie nie strzelili jakiego głupstwa. Kto tak mówi, ten mówi sprawiedliwie, jak uważam, i ja wam spróbuje wykazać, co to jest takiego, co mi wyrobiło takie imię i taką potwarz.



A słuchajcie!

A może się będzie komu z was zdawało, że żartuję; tymczasem bądźcie przekonani: całą wam prawdę powiem. Bo ja, obywatele, przez nic innego tylko przez pewnego rodzaju mądrość takie imię zyskałem. A cóż tam za mądrość, taka? Taka może jest i cała ludzka mądrość! Doprawdy, że tą i ja, zdaje się, jestem mądry. A ci, o których przed chwilą mówiłem, ci muszą pewnie być jakąś większą mądrością ponad ludzką miarę mądrzy, albo — nie wiem sam, co powiedzieć. Ja przynajmniej zgoła się na tej wyższej nie znam, a kto to na mnie mówi, ten kłamie i tylko na to wychodzi, żeby oszczerstwo na mnie rzucił.

A tylko, obywatele, nie krzyczcie na mnie, nawet, gdyby się wam zdawało, że wielkich słów

używam. Bo nie będę swoich słów przytaczał w tem co powiem, ale się powołam na kogoś innego, kto to powiedział. Przytoczę wam świadka mojej mądrości, jeżeli jaka jest i jaka: boga w Delfach.

Znacie pewnie Chajrefonta. To mój znajomy bliski od dziecięcych lat i mnóstwo z was, z ludu, dobrze go znało. On wtedy razem poszedł na to wygnanie i wrócił razem z wami. I dobrze wiecie, jaki był Chajrefon; jaki gorączka, do czego się tylko wzięt. I tak raz nawet, jak do Delfów przyszedł, odważył się o to pytać wyroczeni i — jak powiadam — nie róbcie hałasu, obywatele! zapytał tedy wprost, czyby istniał ktoś mądrzejszy odemnie. No i Pytja odpowiedziała, że nikt nie jest mądrzejszy. I to wam ten tutaj brat jego poświadczy, bo tamten już umarł.

VI Zważcie tedy, dlaczego to mówię. Chcę wam pokazać, skąd się wzięła potwarz. Bo ja, kiedy to usłyszał, zacząłem sobie w duchu myśleć tak: Co też to bóg mówi? Cóż ma znaczyć ta zagadka? Bo ja, doprawdy, ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam. Więc cóż on właściwie mówi, kiedy powiada, że ja najmądrzejszy? Przecież chyba nie kłamie. To mu się nie godzi. I długi czas nie wiedziałem, co to miało znaczyć, a potem, powoli, powoli zacząłem tego dochodzić tak mniej więcej:

Poszedłem do kogoś z tych, którzy uchodzą za mądrych, aby, jeśli gdzie, to tam przekonać wyroczenie, że się myli, i wykazać jej, że ten oto tu jest mądrzejszy odemnie, a tyś powiedziała, że ja.

Więc, kiedy się tak w nim rozglądałem — na-

zwiska wymieniać nie mam potrzeby: to był ktoś z pośród polityków, który na mnie takie jakieś zbliżone zrobił wrażenie, obywatele — otóż, kiedy tak z nim rozmawiał, zaczęło mi się zdawać, że ten obywatel wydaje się mądrym wielu innym ludziom, a najwięcej sobie samemu, a jest? Niel! A potem próbowałem mu wykazać, że się tylko uważa za mądrego, a nie jest nim naprawdę. No i stąd mnie znienawidził i on i wielu z tych, co przy tem byli.

Wróciwszy do domu, zacząłem miarkować, że od tego człowieka jednak jestem mądrzejszy. Bo z nas dwóch żaden, zdaje się, nie wie nic o tem, co piękne i dobre, ale jemu się zdaje, że coś wie, choć nic nie wie, a ja, jak nic nie wiem, tak mi się nawet i nie zdaje. Więc może o tę właśnie odrobinę jestem od niego mądrzejszy, że, jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem.

Stamtąd poszedłem do innego, który się wydawał mądrzejszym niż tamten i znowu takie samo odniosłem wrażenie. Tu znowu mnie ten ktoś znienawidził i wielu innych ludzi.

Więc potem, tom już po kolei dalej chodził, choć VII
widziałem i bardzo mnie to martwiło i niepokoiło, że mnie zaczynają nienawidzić, a jednak mi się koniecznem wydawało, to co bóg powiedział, stawiać nadewszystko.

Trzeba było iść dalej, dojść, co ma znaczyć wyrocznia, iść do wszystkich, którzy wyglądali na to, że coś wiedzą. I dalipies, obywatele — bo przed wami potrzeba prawdę mówić — ja, doprawdy,

odniosłem takie jakieś wrażenie: ci, którzy mieli najlepszą opinię, wydali mi się bodaj że największymi nędzarzami, kiedym tak za wolą boską robił poszukiwania, a inni, lichsi z pozoru, byli znacznie przyzwoitsi naprawdę, co do porządku w głowie.

Muszę wam jednak moją wędrówkę opisać; jakim ja trudy podejmował, aby wkońcu przyznać słusność wyroczeni.

Otóż po rozmowach z politykami, poszedłem do poetów, tych, co to tragedje piszą i dytyramby i do innych, żeby się tam na miejscu niezbitcie przekonać, żem głupszy od nich.

Brałem tedy do ręki ich poematy, zdawało się, najbardziej opracowane i bywało, rozpytywałem ich o to, co chcą właściwie powiedzieć, aby się przy tej sposobności też i czegoś od nich nauczyć. Wstydzę się wam prawdę powiedzieć, obywatela, a jednak powiedzieć potrzeba. Więc krótko mówiąc: nieledwie wszyscy inni, z boku stojący, umieli lepiej, niż sami poeci mówić o ich własnej robocie.

Więc i o poetach się przekonałem niedługo, że to, co oni robią, to nie z mądrości płynie, tylko z jakiejs przyrodzonej zdolności, z tego, że w nich bóg wstępuje, jak we wieszczków i wróżbitów; ci także mówią wiele pięknych rzeczy, tylko nic z tego nie wiedzą, co mówią. Zdaje mi się, że coś takiego dzieje się i z poetami. A równocześnie zauważyłem, że oni przez tę poezję uważają się za najmądrzejszych ludzi i pod innymi względami, a wcale takimi nie są. Więc i od nich odszedłem, uważając, że tem samem ich przewyższam, czem i polityków.

W końcu zwróciłem się do rzemieślników. Bo VIII
sam zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że
nic nie wiem, a u tych wiedziałem, że znajdę wiedzę
o różnych pięknych rzeczach. I nie pomyliłem się.
Ci wiedzieli rzeczy, których ja nie wiedziałem i tem
byli mądrzejsi odemnie. Ale znowu, obywatele, wy-
dało mi się, że dobrzy rzemieślnicy popełniają ten
sam grzech, co i poeci. Dlatego, że swoją sztukę
dobrze wykonywał, myślał każdy, że jest bardzo
mądry we wszystkim innem, nawet w największych
rzeczach i ta ich wada rzucała cień na ich mądrość.

Tak, zem się zaczął sam siebie pytać zamiast
wyroczni, cobym wolał, czy zostać tak jak jestem
i obejść się bez ich mądrości, ale i bez tej ich głu-
poty, czy mieć jedno i drugie, jak oni. Odpowie-
działem i sobie i wyroczni, że mi się lepiej opłaci
zostać tak, jak jestem.

Z tych tedy dochodzeń i badań, obywatele, IX
liczne się porobiły nieprzyjaźnie i to straszne i bardzo
ciężkie tak, że stąd i potwarze poszły i to imię stąd,
że to mówią: mądry jest! Bo zawsze ci, co z boku
stoją, myślą, że ja sam jestem mądry w tem, w czem
mi się kogo trafi położyć w dyskusji.

A to naprawdę, podobno bóg jest mądry i w tej
wyroczni to chyba mówi, że ludzka mądrość mało
co jest warta, albo nic. I zdaje się, że mu nie o
Sokratesa chodzi, a tylko użył mego imienia, dając
mnie na przykład, jakby mówił, że ten z was,
ludzie, jest najmądrzejszy, który, jak Sokrates, po-
znał, że nic nie jest naprawdę wart tam, gdzie cho-
dzi o mądrość.

Ja jeszcze i dziś chodzę i szukam tego i myszkuję, jak bóg nakazuje, i między mieszczanami naszymi i między obcymi, jeżeli mi się który mądry wydaje. A jak mi się który wydaje, to zaraz bogu pomagam i dowodzę takiemu, że nie jest mądry. I to mi tyle czasu zabiera, że ani nie miałem kiedy w życiu obywatelskiem zrobić czegoś, o czemby warto było mówić, ani koło własnych interesów chodzić; ostatnią biedę klepię przez tę służbę bożą.

X A oprócz tego, chodzą za mną młodzi ludzie, którzy najwięcej mają wolnego czasu, synowie co najbogatszych obywateli; nikt im chodzić nie każe, ale oni lubią słuchać, jak się to ludzi bada, a nieraz mnie naśladowują na własną rękę i próbują takich badań na innych.

Pewnie — znajdują mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś wiedzą a wiedzą mało, albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich: mówią, że to ostatni łajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich ktoś pyta, co on robi takiego i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć, nie wiedzą; a, żeby pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każdego miłośnika wiedzy zaraz mówi, że tajemnice nieba odśłania i ziemi, a bogów nie szanuje a z gorszego zdania robi lepsze.

Bo prawdy żadenby chyba nie powiedział, że się ich niewiedzę odśłania i udawanie mądrości. A że im widać na poważaniu zależy a zaciekli są i dużo ich jest a systematycznie i przekonująco na mnie wygadują, więc macie pełne uszy ich potwarzy,

rzucanych na mnie od dawna a zajadle. Z pośród nich też wyszli na mnie Meletos, Anytos i Lykon. Meletos się obraził za poetów, Anytos za rzemieślników i polityków, a Lykon za mowców

Tak, że jakem na początku mówił, jaby mi się sam dziwił, gdyby mi się w tak krótkim czasie udało wyjąć wam z uszu te liczne a zastarzałe oszczerstwa.

Oto jest, obywatela, cała prawda; nie ukryłem przed wami ani wielkich ani małych okoliczności; nie pokrywałem niczego milczeniem. Chociaż wiem, że to samo znowu nienawiść przeciw mnie rozbudza. To właśnie świadczy, że mówię prawdę, że taka jest potwarz na mnie i takie są jej przyczyny. I czy teraz, czy później kiedyś zechcecie się tem zająć, zawsze to samo znajdziecie.

Więc na to, o co mnie pierwsi oskarżyciele moi oskarżyli, niech mi to przed wami za obronę starczy. A Meletosowi zacnemu i pełnemu troski o los państwa, jak mówi, i tym późniejszym zaraz spróbuję odpowiedzieć. XI

A że to już są inni oskarżyciele, więc weźmy znowu ich skargę pod uwagę. Ona taka jest mniej więcej: Sokrates, powiadają, zbrodnię popełnia, albowiem psuje młodzież, nie uznaje bogów, których państwo uznaje, ale inne duchy nowe. Taka jest skarga. Przejdźmy ją punkt za punktem. Więc powiada, że jestem zbrodniarzem, bo psuję młodzież. A ja, obywatela, powiadam, że to Meletos jest zbrodniarzem, bo sobie drwi z poważną miną, lekkomyślnie lu-

dzi do sądu ciągnie i udaje, że mu serjo idzie o rzeczy, na których mu nigdy nie zależało. Że to tak jest, spróbuję i wam wykazać.

XII Chodźno tu, Meletosie, powiedzno mi: Nieprawdaż, tobie najwięcej zależy na tem, żeby młodzież była jak najlepsza?

Tak jest.

No, to proszę cię teraz, powiedz tym obywatelom, kto to młodzież naprawia? Jasna rzecz, że ty wiesz; przecież tobie na tem zależy. Bo tego, co psuje, znalazłeś, jak powiadasz, we mnie, zaciągnąłeś mnie przed tych tu obywateli i wnosisz oskarżenie. Więc i tego, co naprawia, nazwij i donieś sądowi, kto to jest. Widzisz, Meletosie, że milczysz i nie masz co odpowiedzieć? A nie uważasz, że to wstyd i najlepsze świadectwo tego, co przecież ja mówię, że ci nic na tem nie zależało? No, powiedz, kochanie, któż ich naprawia?

Prawa!

Ależ mój drogi, ja się nie o to pytam, tylko: co za człowiek, który przedewszystkiem i to zna: prawa.

Ci oto, Sokratesie, sędziowie!

Tak mówisz, Meletosie? Ci tutaj umieją młodych ludzi wychowywać i naprawiają ich?

Oczywiście!

Wszyscy, czy tylko jedni z nich, a drudzy nie?

Wszyscy.

Dobrze mówisz, na Herę i coś bardzo dużo tych pożytecznych obywateli. No, ale jakżeż to? A ci tu słuchacze naprawiają, czy nie?

I ci także.

A cóż członkowie wielkiej rady?

I członkowie rady.

Ależ Meletosie, a ci z Walnego Zgromadzenia, ci nie psują młodych ludzi? Oni także naprawiają ich, wszyscy?

Oni także.

No to chyba wszyscy Ateńczycy doskonałą młodzież, tylko ja nie; ja tylko jeden psuję. Tak mówisz?

Bardzo stanowczo tak mówię.

Ja jestem, doprawdy okropny nędznik w twoich oczach. Ale odpowiedz mi! Czy uważasz, że i z końmi rzecz się ma tak samo? Naprawiają konie wszyscy ludzie, a tylko jeden jakiś psuje? Czy też wprost przeciwnie: jeden ktoś potrafi je naprawiać, albo bardzo nieliczni ludzie: ujeżdżacze; a ci liczni, jak zaczną się z końmi obchodzić i używać ich, psują. Czy nie tak się rzeczy mają, Meletosie, i z końmi i z innymi wszystkimi istotami żywymi? Doprawdy, że tak; wszystko jedno, czy się ty i Anytos na to zgodzicie, czy nie. To wystarczy, Meletosie; dowiodłeś, żeś się nigdy nie interesował młodzieżą; jasno widać twoje niedbalstwo; nie dbasz zgoła o to, o co mnie do odpowiedzialności pociągasz?

A jeszcze nam powiedz Meletosie, czy lepiej jest mieszkać wśród obywateli dzielnych, czy w społeczeństwie złych ludzi? Odpowiadaj przyjacielu! Ja cię przecież o nic trudnego nie pytam. Nieprawdaż, że źli ludzie zawsze coś złego robią tym, co z nimi najbliższej obcują, a dobrzy coś dobrego?

XIII

No pewnie.

A czy istnieje taki człowiek, któryby wolał od bliźnich doznawać czegoś złego raczej, niż dobrego? Panie dobry, odpowiadaj! Przecież prawo nakazuje odpowiadać. Czy istnieje człowiek, który chce doznawać złego?

Naturalnie, że nie.

A proszę cię, ty mnie tutaj przed sąd ciągniesz za to, że psuję młodzież i wyrabiam złych ludzi umyślnie, czy nieumyślnie?

A pewnie, że umyślnie!

Jakto Meletosie? O tyleś odemnie, starego mądrzejszy, ty taki młodzik, żeś zrozumiał, jako iż źli ludzie źle robią swemu najbliższemu otoczeniu, a dobrzy dobrze. A jabym miał aż tak zgłupieć, żebym i tego nawet nie pojmował, że jeśli kogoś w swem otoczeniu złym człowiekiem zrobię, mogę potem sam czegoś złego doznać z jego strony i takie straszne zło popełniam umyślnie, jak mówisz ty? W to ja ci nie uwierzę, Meletosie, a myślę, że i nikt inny. Więc albo nie psuję — albo psuję nieumyślnie, zaczem ty w obu wypadkach kłamiesz. A jeśli psuję nieumyślnie, to za takie, i to nieumyślne zbrodnie nie wolno ludzi tutaj do sądu ciągać, ale się samemu do tego wziąć; nauczać i kierować. Jasna rzecz, że jak się nauczę, to przestaną to robić, co nieumyślnie popełniam. A tyś obcowania ze mną unikał i uczyć mnie nie chciałeś, tyłkoś mnie tu przed sądem postawił, gdzie wolno stawiać ludzi, którym kary potrzeba, a nie nauki.

XIV

Więc obywatele, to już jest jasna rzecz, com

mówił, że się troskliwe serce Meletosa o te rzeczy nigdy ani w ogólności, ani w szczególności nie troszczyło.

Mimo to, powiedz nam, Meletosie, jak ty mówisz, że ja psuję młodych. Oczywiście, wedle skargi, którąś wniósł na piśmie, to uczę ich nie wierzyć w bogów, w których państwo wierzy, tylko w inne duchy nowe? Czyż nie taka, powiadasz, jest treść mojej nauki gorszącej?

Otóż bardzo stanowczo to stwierdzam.

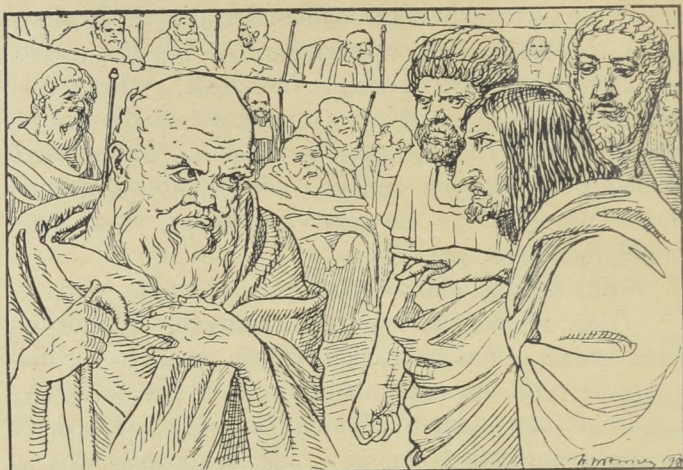
Ależ na bogów, na tych samych, o których teraz mowa, Meletosie, powiedzże jeszcze jaśniej i mnie i tym obywatelom tutaj. Bo ja nie mogę wyrozumieć, czy twojem zdaniem, ja uczę wierzyć, że są jacyś bogowie i sam przecież w bogów wierzę, a nie jestem kompletnym ateistą i nie w tym moja zbrodnia, chociaż nie w tych, których państwo uznaje, ale w innych i o to mnie właśnie oskarżasz, że w innych; czy też, twojem zdaniem, ja wogóle w bogów nie wierzę i drugich tego nauczam?

To mówię, że ty wogóle w bogów nie wierzysz.

Przedziwny Meletosie! na co ty takie rzeczy mówisz? Więc ani Heliosa ani Seleny za bogów nie uważam, tak jak inni ludzie?

Na Dzeusa, sędziowie, tak! bo on mówi, że słońce to kamień, a księżyc to ziemia!

Rochany Meletosie! Tobie się zdaje, że ty Anaksagorasa skarżysz? Za kogo ty masz tych obywateli? Myślisz, że oni książek nie czytają, nie wiedzą, że to w pismach Anaksagorasa z Kladzomenów pełno takich zdań. I tak naprawdę i młodzi ludzie odemnie



się dopiero uczą takich rzeczy, które można nieraz, jeśli drogo, to za całą drachmę w teatrze kupić i śmiać się ze Sokratesa, gdyby udawał, że to jego pomysły — inna rzecz, że i tak głupie.

Nie — na Dzeusa — to ja, twojem zdaniem, tak, w ani jednego boga nie wierzę?

Nie, na Dzeusa, ani troszeczkę!

Tyś bardzo niewierny człowiek, Meletosie, i to nawet, mnie się zdaje, ty samemu sobie nie wierzysz. Bo mnie się tak wydaje, obywatele, że on sobie pozwala i używa sobie — a tę skargę napisał poprostu z buty jakiejś, z rozpusty i młodzieńczego humoru. Tak wygląda, jakby zagadki układał i próbował: czy się też pozna Sokrates, ten mądry, że ja sobie figle stroję i sprzeciwiam się sobie samemu,

czy też wywiodeę w pole i jego i innych słuchaczy? Bo mnie się wydaje, że on sam sobie zaprzecza w skardze; tak, jakby mówił: popełnia zbrodnię Sokrates w bogów nie wierząc, ale w bogów wierząc. A przecież to są figle!

Doprawdy, rozpatrzcie ze mną, obywatele, jak on to, mojem zdaniem, mówi; a ty nam odpowiadaj, Meletosie. A wy, ja was już o to prosiłem na samym początku, pamiętajcie nie podnosić na mnie hałasu, jeżeli ja tak swoim starym zwyczajem będę prowadził rozmowę! XV

Meletosie, czy istnieje taki człowiek, który wierzy w istnienie spraw ludzkich, a w istnienie ludzi nie wierzy? Obywatele, niech on odpowiada, zamiast co chwila wrzaskami swoje niezadowolenie objawiać! Czy jest ktoś, kto w istnienie koni nie wierzy, a tylko w roboty końskie? albo w istnienie flecistów nie wierzy, a tylko prace flecistów uznaje? Niema takiego, zacności moja! Jeżeli ty nie chcesz odpowiadać, to ja ci to sam powiadam i wszystkim innym tutaj. Ale na drugie mi odpowiedz: czy jest taki, co wierzy w sprawy duchów, a w duchy same nie wierzy?

Niema takiego!

Ach jakżeś łaskaw, żeś przecież raczył odpowiedzieć, kiedy cię sędziowie zmusili. Nieprawdaż, ty mówisz, że ja duchy uznaję i nauczam o nich; inna rzecz: nowe, czy stare. Zatem duchy uznaję, wedle twoich słów, tyś to nawet zaprzysiągł na piśmie w oskarżeniu. Zatem jeśli ja w sprawy duchów wierzę, to z konieczności muszę tem samem

i w duchy wierzyć. Czyż nie tak? Naturalnie, że tak. Bo ja zakładam, że ty się zgadzasz, skoro nie odpowiadasz. A duchy czyż nie uchodzą u nas albo za bogów, albo za potomstwo bogów?

Naturalnie.

No więc? Jeśli zatem, jak powiadasz, wierzę w duchy, a duchy są jakimiś bogami, to byłoby tak, jak ja mówię, że ty zagadki układasz i figle stroisz, mówiąc raz, że ja w bogów nie wierzę, a potem znowu, że w bogów wierzę, skoro wierzę w duchy.

A jeśli znowu duchy to potomstwo bogów gdzieś tam z boku, z nimi czy z jakichś tam innych, jak to opowiadają, to któryż człowiek mógłby wierzyć w istnienie dzieci bożych, a w bogów samych nie? Toż toby było podobne głupstwo, jak gdyby ktoś istnienie potomków koni przyjmował i osłów, a mianowicie muły, a w istnienie samych koni i osłów nie wierzył. Ależ, Meletosie, to nie może być inaczej, tylkoś ty tę skargę napisał tak na próbę dla nas, albo też nie wiedziałeś naprawdę, o jakiby mnie można właściwie występki oskarżyć. Ale, żebyś ty kogoś przekonał, co ma choć odrobinę oleju w głowie, że jeden i ten sam człowiek potrafi w dzieła duchów i bogów wierzyć i znowu ten sam nie wierzy ani w duchy, ani w bogów, ani w bohaterów, to się w żaden sposób nie da zrobić.

XVI

Zatem, obywatele, że ja nie popełniam zbrodni, takiej wedle skargi Meletosa, na to, zdaje się, nie potrzeba długiej obrony; wystarczy już i to.

Ale to, com już i przedtem mówił, że wielka przeciwko mnie nienawiść istnieje i to z wielu stron,

to bądźcie przekonani, że jest święta prawda. I to jest to, co mnie zgubi, jeśli zgubi; nie Meletos, ani Anytos, ale potwarz ze strony wielu i zawiść. One już i wielu innych i dzielnych ludzi zgubiły, a myślę, że i gubić będą. Zgoła niema obawy, żeby to na mnie stanęło.

Więc gotów może ktoś powiedzieć: dobrze, a czy ty się nie wstydzisz, Sokratesie, żeś się taką robotą bawił, za którąś dzisiaj gotów umrzeć?

A jabym takiemu sprawiedliwe słowo odpowiedział, że ty nieładnie mówisz, człowiecze, jeżeli, twojem zdaniem, z góry widoki życia lub śmierci obliczać powinien człowiek, z którego jest, choćby jaki taki pożytek, a nie na to tylko patrzeć, kiedy działa, czy postępuje słusznie, czy niesłusznie i czy robi tak, jak człowiek dzielny, czy jak lichy. Toż lichymi figurami byłiby wedle twego zdania i półbogowie, którzy padli pod Troją, a między innymi i syn Tetydy, który tak dalece gardził niebezpieczeństwem, byle hańby po sobie nie przenieść, że gdy chciał zabić Hektora i matka, że to bogini, powiada mu o tak jakoś, zdaje mi się: synu, jeśli pomścisz śmierć przyjaciela, Patrokla, i zabijesz Hektora, to sam zginięsz! Zaraz cię bowiem, powiada, po śmierci Hektora skon czeka — on to usłyszał, ale tak mało dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo, a znacznie więcej się obawiał żyć i być lichym człowiekiem i przyjaciela nie pomścić, że i zaraz, powiada, niech zgine, jak tylko złoczyńcę ukarzę, byłem się tutaj beczynnemu ludzom na śmiech nie włóczył koło okrętów

garbatych i ziemi nie deptał daremnie. Myślisz, że on dbał o śmierć i o niebezpieczeństwo? Tak jest, obywatele, naprawdę. Gdzie człowiek raz stanie do szeregu, bo to uważał za najlepsze, albo, gdzie go zwierzchnik postawi, tam trzeba, sędzę, trwać, mimo niebezpieczeństwa; zgoła nie biorąc w rachubę ani śmierci, ani niczego innego, oprócz hańby.

XVII

Więc jabym strasznie postąpił, obywatele, gdybym wtedy na rozkaz wodzów, którycheście wy obrali i postawili nademną pod Potejdają, pod Amfipolis i pod Deljon, trwał tam, gdzie mi oni kazali, tak samo jak i każdy inny i narażał się na śmierć, a kiedy mi rozkazywał bóg, jak ja sądziłem i byłem przekonany, że powinien życie poświęcić ukochaniu mądrości i badaniu siebie samego i drugich, gdybym miał, ze strachu przed śmiercią czy wszystko jedno przed czem, opuszczać szyk.

Toby było straszne i wtedyby naprawdę mnie słusznie mógł ktoś do sądu ciągnąć za to, że w istnienie bogów nie wierzę i wyroczni nie słucham i uważam się za mądrego, choć nie jestem. Bo obawiać się śmierci, obywatele, to nic innego nie jest, jak tylko mieć się za mądrego, choć się nim nie jest. Bo to znaczy myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie. Bo przecież o śmierci żaden człowiek nie wie, czy czasem nie jest dla nas największem ze wszystkich dobrem, a tak się jej ludzie boją, jakby dobrze wiedzieli, że jest największem złem. A czyż to nie jest głupota i to ta najpaskudniejsza: myśleć, że się wie to, czego człowiek nie wie?

Ja się, obywatele, i na tym punkcie różnię od

wielu innych ludzi i jeżelibym naprawdę powiedział, że jestem pod jakimś względem mądry, to właśnie pod tym, że nie mając dostatecznego pojęcia o tem, co w Hadesie, zdają też sobie z tego sprawę, że nie wiem. A że krzywdy wyrządzać i nie słuchać lepszego od siebie — boga czy człowieka — jest czemś złem i hańbą — to wiem. Więc, zamiast się chronić takiego zła, o którym wiem, że jest złem, ja takich rzeczy, o których nie wiem, czy przypadkiem nie są właśnie dobre, ani się bać, ani przed nimi uciekać nie myślę.

To też nawet, jeżeli mnie teraz puścicie i nie dacie wiary Anytosowi, który mówił, że albowiem się tu wogóle nie powinien był znaleźć, albo, skorom się już tu znalazł, niepodobna mnie na śmierć nie skazać, bo jeśli, powiada, ujdę kary, to już wasi synowie, postępując wedle nauk Sokratesa, zepsują się do reszty i ze szczętem — więc, gdybyście mi na to powiedzieli: Sokratesie, my teraz nie posłuchamy Anytosa, tylko cię uwolnimy, pod tym jednakże warunkiem, abyś się nigdy więcej takimi poszukiwaniami nie bawił ani nie filozofował dalej, a jeśliby cię znowu na tej robocie schwytano, to zginiesz — jeślibyście mnie, jak mówię, pod temi warunkami puścić mieli, tobym wam powiedział, że ja was, obywatela, kocham całym sercem, ale posłucham boga raczej, aniżeli was, i póki mi tchu starczy, póki sił, bezwarunkowo nie przestanę filozofować i was pobudzać i pokazywać drogę każdemu, kogo tylko spotkam, mówiąc jak to zwykle, że ty, mężu zacny, obywatelem będąc Aten, miasta tak

wielkiego i tak sławnego z mądrości i siły, nie wstydzisz się dbać i troszczyć o pieniądze, abyś ich miał jak najwięcej, a o sławę, o cześć, o rozum i prawdę i o duszę, żeby była jak najlepsza, ty nie dbasz i nie troszczysz się o to?

I jeżeliby mi kto z was zaprzeczał i mówił, że dba, ja go nie puszczę i nie dam mu odejść, ale go będę pytał i badał i przekonywał i jeśli dojdę do przekonania, że on nie ma dzielności naprawdę, a tylko tak mówi, to będę go poniewierał, że o najwyższe wartości najmniej dba, a rzeczy lichsze wyżej stawia. I tak będę robił młodym i starym i kogo tylko spotkam i swoim i obcym, a tembardziej swoim, boście mi bliżsi krwią.

Tak rozkazuje bóg, dobrze sobie to pamiętajcie, a mnie się zdaje, że wy wogóle nie macie w państwie nic cenniejszego, niż ta moja służba boża. Bo przecież ja nic innego nie robię, tylko chodzę i namawiam młodych z pośród was i starych, żeby się ani o ciało, ani o pieniądze nie troszczył jeden z drugim przedewszystkiem, ani tak bardzo, jak o duszę, aby była jak najlepsza; i mówię im, że nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze i wszelkie inne dobra ludzkie i prywatne i publiczne.

Więc, jeżeli tak mówię i tem młodzież psuję, to może być, że to są rzeczy szkodliwe; ale jeśli ktoś twierdzi, że ja cokolwiek innego mówię, a nie to właśnie — ten kłamie.

Wobec tego, Ateńczycy — czy wy posłuchacie Anytosa, czy nie i czy mnie wypuścicie, czy nie

wypuścicie, ja nie będę postępował inaczej; nawet gdybym miał nie jeden, ale sto razy umrzeć.

Nie podnoście wrzasków, Ateńczycy; wytrzymajcie, jakem was prosił, żeby nie krzyczyć na to, co powiem, ale słuchać. A myślę, że się wam to przyda, jeżeli posłuchacie. Ja wam jeszcze coś nie-coś powiem takiego, na co pewnie będziecie krzyczeli, ale nie róbcie tego, nie!

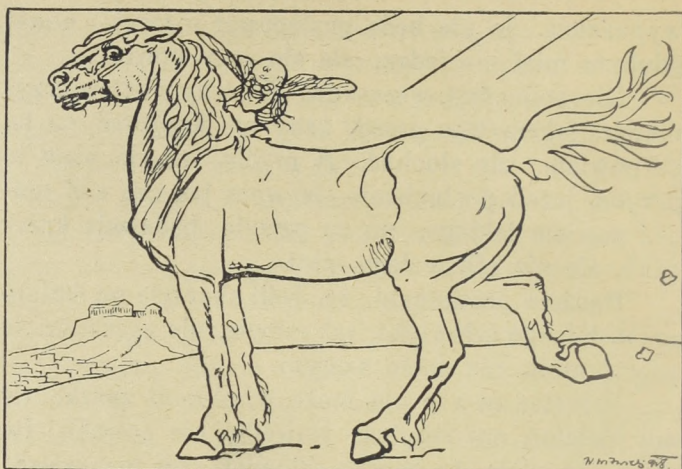
Bądźcie przekonani, że, jeśli skazecie na śmierć mnie, takiego człowieka, jak mówię, nie zaszkodzicie więcej mnie, niż sobie samym.

Przecież mnie nie może w niczem zaszkodzić ani Meletos, ani Anytos. Nawetby nie potrafili! Bo mnie się zdaje, że gorszy człowiek „nie ma prawa“ zaszkodzić lepszemu. Pewnie; może go zabić, skazać na wygnanie, pozbawić czci i praw. Tylko, że te rzeczy on pewnie uważa, i ktoś inny może, za wielkie nieszczęścia, a ja zgoła nie uważam; znacznie większe nieszczęście robić to, co on teraz robi: niesprawiedliwie nastawać na życie człowieka.

Więc teraz, Ateńczycy, jestem daleki od tego, żebym miał przemawiać w obronie siebie samego, jakby się komuś zdawać mogło, ale raczej w obronie was, żebyście czasem nie obrazili boga za to, że was obdarował, jeżeli na mnie wyrok śmierci wydacie.

Bo jeśli mnie skazecie, to nie łatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby tak, śmiech powiedzieć, jak bąk z ręki boga puszczony, siadał miastu na kark; ono niby koń wielki i rasowy, ale taki duży, że gnuśniej i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go budziło.

XVIII



I zdaje mi się, że czemś takim dla miasta ja właśnie jestem, od boga mu przydany; ja, który was ciągle budzę i nakłaniam i zawsze besztam każdego z osobna po całych dniach, to tu, to ówdzie przysiadając. Takiego drugiego nie łatwo dostaniecie, obywatele; to też, jeżeli mnie posłuchacie, to nie zechcecie się mnie pozbywać.

Ale może być, że wy się gniewacie jak ten, któremu ktoś drzemkę przerywa; radziłyście mnie paćnąć i, jak Anytos radzi, zabić mnie, nie wiele myśląc. Potembyście resztę życia mogli spać spokojnie, chyba, że się bóg o was zatroszczy i kogoś innego wam znowu ześle.

Że ja jestem właśnie taki, i że mnie bóg dał miastu, to może i stąd zmiarkujecie: przecież to nie

jest zwyczajna ludzka rzecz, że ja o swoje sprawy zgola nie dbam i spokojnie patrzę na mój dom w zaniedbaniu i to już od tylu lat, a ciągle jestem waszem dobrem zajęty. Prywatnie do każdego przychodzę, niby ojciec, albo starszy brat, i każdego namawiam, żeby dbał o dzielność. Gdybym jeszcze za to coś dostawał, brał jakie honorarja za te rozstrząsania dusz, to miałbym jakiś powód.

Ależ dzisiaj wy widzicie sami, że oskarżyciele, którzy mnie tak bezwstydnie o wszystko inne oskarżyli, do takiej się przecież nie potrafili posunąć bezczelności, żeby świadka postawić na to, jakobym ja od kogo kiedykolwiek albo wziął wynagrodzenie, albo go zażądał. Bo ja, zdaje się, wystarczającego stawiam świadka na to, że prawdę mówię: ubóstwo.

Ale może się to wyda nierozsądkiem, że ja tylko XIX
tak prywatnie ludziom doradzam i chodzę tu i tam i tyle mam do roboty, a publicznie wystąpić nie mam odwagi; pójść na mównicę w tłum między was i rad udzielać państwu.

To pochodzi stąd, że, jakeście to nieraz odmnie słyszeli, mam jakieś bóstwo, jakiegoś ducha, o czym i Meletos na żart w swoim oskarżeniu pisze. To u mnie tak już od chłopięcych lat: głos jakiś się odzywa, a ilekroć się zjawia, zawsze mi coś odradza, cokolwiekbym przedsiębrał, a nie doradza mi nigdy. Otóż ono mi nie pozwala zajmować się polityką. A zdaje mi się, że to zakaz bardzo piękny. Bo wiercie mi, obywatele, gdybym się był kiedyś zajął polityką, dawnobym był zginął i na nic się nie przydał ani wam, ani sobie.

Nie gniewajcie się; ja mówię prawdę. Niema takiego człowieka, któremuby wasz lub jakikolwiek inny tłum przepuścił, jeżeli mu ktoś szlachetnie czoło stawia i nie pozwala na krzywdy i bezprawia w państwie; człowiek, który naprawdę walczy w obronie słuszności, a chce się, choć czas jakiś, ostać, musi koniecznie wieść żywot prywatny, a nie publiczny.

XX Wielkie wam świadectwa podam na to; nie słowa, ale to, co wy cenicie: czyny. Posłuchajcie, co mi się przytrafiło, abyście wiedzieli, że jabym przed nikim nie ustąpił wbrew słuszności i ze strachu przed śmiercią; nie ustąpiłbym, choćbym i zginąć miał. Opowiem wam ciężkie i smutne historje, ale prawdziwe.

Bo ja, Ateńczycy, nigdy żadnego nie spełniałem urzędu w państwie, tylko raz należał do Wielkiej Rady. Właśnie wtedy prytanja wypadła na naszą grupę: Antjochidę, kiedyście wy uchwalili sędzić sumarycznie dziesięciu wodzów za to, że trupów po bitwie morskiej nie pogrzebali.

Bezprawie, jakieście później wszyscy przyznali.

Wtedy ja jeden z pomiędzy prytańów, postawiłem się wam, że niczego nie będę robił wbrew prawu, i głosowałem przeciw uchwale, chociaż retory gotowe były mnie na miejscu denuncjować i kazać zaraz odprowadzić, a wyście tego żądali i wrzeszczeli; uważałem jednak, że powinienem raczej przyprawie i słuszności stać, bez względu na niebezpieczeństwo, aniżeli się was trzymać, kiedy bezprawia uchwalacie, ze strachu przed więzieniem lub śmiercią.

Ale to było jeszcze za czasów demokracji w mieście.

A kiedy przyszła oligarchja, to znowu tych trzydziestu posłało po mnie, żebym razem z czterema innymi, przyszedł do nich, do okrągłego domu i kazali mi dostawić ze Salaminy Leona Salamińczyka. Mieli go stracić. Oni przecież mnóstwo takich poleceń wydawali różnym ludziom, żeby mieć jak najwięcej współwinnych. Wtedy ja nie słowem, ale czynem dowiodłem, że mi na śmierci zależy, przepraszam, ale... ani tyle! a żeby niczego nieuczciwego, ani bezbożnego nie zrobić, na tem mi tylko zależy i koniec!

Mnie też tamten rząd nie przestraszył, chociaż taki był silny, żebym miał aż coś nieuczciwego popełnić; toteż, kiedyśmy z okrągłego domu wyszli, tamci czterej puścili się zaraz do Salaminy i dostawili Leona, a ja poszedłem prosto do domu. I pewnie bym był za to śmierć poniósł, gdyby się ów rząd w krótki czas potem nie był rozwiązał.

I na to znajdziecie wielu świadków.

Cóż wy myślicie, że jabym był tyle lat bezpiecznie przeżył, gdybym się był pracą publiczną bawił, a bawił tak, jak dzielnemu człowiekowi przystało, pomagał ludziom uczciwym i jak być powinno o to dbał nadewszystko? Ani mowy, obywatele! Ani nikt inny na mojem miejscu.

Ja przez całe życie, czy to na publicznem stanowisku, jeżeli tam coś zdziałał, czy w prywatnem życiu, jestem zawsze taki sam, nigdy nikomu nie ustąpił wbrew słuszności, ani z innych,

ani żadnemu z tych, których oszczercy nazywają moimi uczniami.

Ja nie byłem nigdy niczym nauczycielem. Tylko, jeśli ktoś ma ochotę słuchać, jak ja mówię i swoje robię, to, czyto młody, czy stary, żadnemu tego nigdy nie bronilem i ja nie rozmawiam za pieniądze, a bez pieniędzy nie, tylko zarówno bogatemu, jak i ubogiemu pozwalam, żeby mi pytania stawiał, albo słuchał i odpowiadał, kiedy o czymś rozmawiam. A czy się ktoś przez to robi lepszym, czy nie, ja nie mam prawa za to odpowiadać, bom ani nie przyrzekał nikogo nauczyć czegokolwiek, anim też nie uczył. A jeśli ktoś mówi, że się kiedyś u mnie nauczył, albo odemnie słyszał prywatnie coś innego, niż i wszyscy inni, bądźcie przekonani, że kłamie.

XXII

Alé czemu niejedną ze mną przecież tak chętnie długi czas przestaje? Słyszeliście, obywatele. Ja wam całą prawdę powiedziałem. Bo się chętnie przysłuchują, jak się bada tych, co myślą, że są mądrzy, a nie są. To wcale przyjemna rzecz. A mnie to, jak powiadam, bóg nakazał robić i przez wróżby i sny i na wszelkie sposoby, jakimi zrządzenie boskie zwykło człowiekowi cokolwiek rozkazywać.

To jest, obywatele, i prawda i dowieść tego łatwo.

Bo jeśli ja młodych ludzi psuje, a niektórych nawet już popsulem, tożby koniecznie — jedni z nich postarzeliz się przecież — poznali, że m kiedyś za młodu coś złego doradzał, musieliby więc tu przyjsć i skarżyć mnie za to; a gdyby sami nie chcieli, to zawsze ktoś z bliskich, jakiś ojciec, czy

brat, czy inny krewny takiego, pamiętałby mi to, gdyby jego najbliższy był czego złego doznał ode mnie i dzisiajby się mścił. A tymczasem wielu z nich jest tu koło mnie.

Widzę ich; naprzód ten oto: Kriton, mój rówieśnik i sąsiad, ojciec tego tu Kritobulosa; potem Lyzanjasz ze Slettos, ojciec o tego Ajschinesa; dalej Antyfon z Kefizji, o, ten, ojciec Epigenesa. A ci inni, to bracia tych, co ze mną przestawali: Nikostratos, syn Teozotida, brat Teodota, a Teodot sam umarł, więc on tu swego brata nie zaprosił i Paralos; ten, syn Demodoka; tego bratem był Teages, a ten tu, to Adejmantos, syn Aristona, a to jego brat: Platon; tam Ajantodoros, tu brat jego Apollodoros. A jeszcze wielu innych mogę wam wymienić; Meletos powinien był w swojej mowie przedewszystkiem kogoś z nich podać na świadka; jeżeli wtedy zapomniał, niech go poda teraz; ja poczekam; niech mówi, jeżeli ma co.

Tymczasem znajdziecie coś wręcz przeciwnego, obywatele; oni wszyscy gotowi poprzeć mnie, którym tyle złego zrobił ich najbliższym, jak powiada Meletos i Anytos. Jeszcze ci zepsuci mieliby powód, żeby mnie popierać; ale ci niezepsuci, starsi, ci krewni; cóż tych skłania do tego, żeby mnie popierać, jak nie słuszność i sprawiedliwość: to przekonanie, że Meletos kłamie, a ja mówię prawdę?

Otóż tyleby było, obywatele!

XXIII

Co jabym miał do powiedzenia na swoją obronę, to mniej więcej to właśnie i inne rzeczy tym podobne.

Ale może być, że się ktoś z was zżyma, przypomniawszy sobie siebie samego; on może i w mniej poważnym procesie stawał, a prosił i błagał sędziów i łzami się zalewał, a dzieci swoje tu przyprowadził, żeby jak największą litość wywołać, a jeszcze krewnych przywłókł i przyjaciół; ja, oczywiście, nie będę robił niczego podobnego, choć się narażam, mógłbym sądzić, na największe niebezpieczeństwo.

Więc może niejeden, widząc to, zatnie się na mnie, zgnevija go to i gotów w gniewie głos oddać.

Jeśli tu jest ktoś taki — ja nie przypuszczam, ale jeżeli, to mógłbym mu, zdaje się, coś na to powiedzieć. Powiedziałbym, że mam ci może i ja, ojciec dobry, także jakichestam krewnych. Toż już i jak Homer powiada: anim z drzewa nie wyrósł, anim ze skały wyskoczył, tylko z ludzi; toteż i dom jakiś mam i synów, obywatele, trzech; jeden już pod wąsem, a dwaj to chłopaki, a mimo to, żadnym tu nie przyprowadził i nie będę was prosił o uwolnienie. A czemu nic podobnego nie zrobię? To nie pycha, obywatele, ani lekceważenie was i czy ja mam odwagę na śmierć, czy nie, to nie o to chodzi — chodzi o to, czy to wypada i mnie i wam i całemu miastu — mnie się zdaje, że to nieładnie, żebym ja takie rzeczy robił, w tym wieku i z tem imieniem, wszystko jedno, czy słusznem czy fałszywem.

Bo to niby jest pewne, że Sokrates czemes się wyróżnia od wielu innych ludzi.

Przecież, jeżeliby się ktokolwiek z was w powszechnej opinji wyróżniał mądrością, czy odwagą,

czy jakąkolwiek inną dzielnością, a takby się zachowywał, to byłby wielki wstyd. A ja już niejednego takiego i nieraz widziałem, który za coś pomiędzy ludźmi uchodził, a w sądzie wyprawiał niewiadomo co. Jakby myślał, że: strach, co mu się stanie, jeśli umrze; jakby miał nieśmiertelnym zostać, gdybyście go nie skazali. Mnie się zdaje, że tacy tylko wstyd miastu przynoszą; potem jeszcze gdzieś ktoś z obcych gotów myśleć, że najdzielniejsi ludzie w Atenach, których obywatele sami wyróżniają godnościami i zaszczytami, niczem się nie różnią od kobiet.

Ateńczycy, czegoś podobnego ani my nie powinniśmy robić, którzy za coś tam uchodzimy, ani wyście na to pozwalać nie powinni, raczej pokazać, że o wiele prędzej skażecie takiego, co te rozczulające dramaty wyprawia i miasto ośmiesza, niż takiego, który się spokojnie zachowuje.

A nie mówiąc o tem, czy wypada; to nawet mi się to, obywatele, nie wydaje uczciwem: prosić sędziego i uwalniać się prośbami, od odpowiedzialności, zamiast pouczać i przekonywać. Przecież nie na to tutaj siedzi sędzia, żeby w podarunku rozdawał z łaski sprawiedliwość, tylko, żeby sądził. Przecież przysięgał nie na to, że będzie folgował temu, który mu się podoba, ale, że będzie sądził według praw.

Nieprawdaż? Zatem ani myśmy was nie powinni przyzwyczajać do krzywoprzysięstwa, ani wyście się sami nie powinni do tego przyzwyczajać. Nie godzi się to przed bogiem, ani nam, ani wam.

Nie sądzicie tedy obywatele, że ja powinienem się wobec was zachowywać w sposób, który mi się

XXIV



ani pięknym nie wydaje, ani sprawiedliwym, ani zbożnym; tembardziej, że mnie, dalibóg, o bezbożność ten tu Meletos oskarża.

Oczywiście, gdybym na was wpływał i prośbami gwałt zadawał waszej przysiędze, wtedybym was uczył niewiary w bogów i poprostu, broniąc się, oskarżałbym siebie samego, że bogów nie uznaję. Ale daleko do tego. Ja ich uznaję, obywatele, jak żaden z moich oskarżycieli i pozostawiam bogu i wam sąd o mnie; niech wypadnie tak, jak będzie najlepiej dla mnie i dla was.

XXV

Jeżeli się nie oburzam, obywatele, na to, co się stało, żeście mnie skazali, na to się składa bardzo wiele, a między innymi i to, że mnie nie zaskoczył

niespodziewanie ten fakt. Ja się raczej dziwię, że taka wypadła liczba głosów po obu stronach.

Nie spodziewałem się tak małej większości — myślałem o wielkiej. A tu, jak widzę, gdyby tylko trzydzieści skorupiek było padło w drugą stronę, byłbym został uwolniony. Przeciw Meletosowi, to uważam, że i tak wygrałem i nie tylko wygrałem, ale to każdy zrozumie, że gdyby się był do jego skargi nie przyłączył Anytos i Lykon, byłby musiał zapłacić tysiąc drachm, bo nie dostał piątej części głosów,

Więc ten obywatel proponuje dla mnie śmierć. XXVI
No, dobrze. A ja — jakąż ja mam podać ze swojej strony propozycję?

No, oczywiście, że należąta. Więc cóż? Jakąż mi się należy kara osobista, czy grzywna, żem, licho wie czemu, całe życie nie siedział cicho i nie dbał o to, o co się troszczy wielu: o pieniądze, o dom, o strategję, mowy na zgromadzeniach, urzędy, sprzyśiężenia, obywatelskie spiski, bom się naprawdę za zbyt porządnego człowieka uważał na to, żeby tam pójść, a ostać się i nie szedłem tam, gdziebym się ani wam, ani sobie na nic nie był przydał, tylko, jak zwykły człowiek, do każdego z osobna chodził świadczyć mu największe dobrodziejstwo, ja przynajmniej tak uważam; tak szedłem i próbowałem każdego z was namawiać, żeby ani o żadną ze spraw swoich nie dbał prędzej, zanim dbać zacznie o siebie samego, by się stał jak najlepszym i najmądrzejszym, ani się o sprawy państwa troszczył, zanim o państwie samem nie pomyśli i żeby się o wszystko inne podobnym porządkiem starał. Więc co mi się

należy za to? Takiemu człowiekowi? Coś dobrego, obywatele, jeżeli wniosek ma być naprawdę należyty. I to coś dobrego w tym rodzaju, żeby to odpowiadało mojej osobie.

A cóż odpowiada człowiekowi ubogiemu, zastuzonemu, który musi mieć wolną głowę, żeby was mógł nawracać? Niema nic odpowiedniejszego, Ateńscy, jak to, żeby takiemu obywatelowi dawać honorowy wikt w prytanejon; o wiele więcej, niż jeśli który z was na koniu, parą albo czterma końmi odniesie zwycięstwo w Olympji.

Bo, dzięki niemu, zdaje się wam, że jesteście szczęśliwi, a dzięki mnie — jesteście. I taki nie potrzebuje utrzymania, a ja potrzebuję. Jeżeli więc mam po sprawiedliwości proponować karę należytą, to proponuję: honorowy wikt w prytanejon.

XXVII

Może się wam zdaje, że i teraz mówię podobnie jak przedtem o owych jękach i błaganiach, bom się zaciął w zarozumiałości. To nie to, obywatele, raczej coś innego; ja jestem przekonany, że dobrowolnie nikogo na świecie nie skrzywdziłem, ale was o tem nie przekonam; bo myśmy za krótko ze sobą rozmawiali. Mimoto, ja myślę, że, gdyby u was istniało prawo, jak u innych ludów, żeby w sprawach gardłowych nie jeden tylko dzień sądzić, ale kilka, to prawdopodobnie dalibyście się przekonać. Tak, teraz, nie łatwo w czasie tak krótkim takie wielkie oszczerstwa z siebie zmyć.

Otóż mając głębokie przekonanie, że nie krzywdzę nikogo, daleki też jestem od tego, żebym miał siebie samego krzywdzić i o sobie samym powie-

dzieć, żem na coś złego zasłużył i miałbym coś podobnego dla siebie proponować... czemu właściwie? Ze strachu? A przed czym? Żeby nie poniósł tego, co dla mnie Meletos proponuje? Ależ ja mówię, że nie wiem ani, czy to jest coś dobrego, ani, czy to coś złego. Mam więc, zamiast tego, wybierać rzeczy, o których dobrze wiem, że są złe, i co zaproponować? Więzienie? Alboż mi się chce żyć w więzieniu i jak niewolnik zależeć od ustawicznie zmieniającej się władzy, od tych jedenastu? Może grzywnę i więzienie, zanim kary nie spłacę? Ależ to to samo, co dopiero mówiłem. Ja nie mam pieniędzy, nie mam skąd płacić.

Więc może proponować wygnanie? Wybyście mi to może uchwalili. Ale jabym musiał być strasznie do życia przywiązany, gdybym miał być aż tak głupim i nie mógł wymiarkować, że wy przecież, moi współobywatele, nie mogliście wytrzymać mojego sposobu życia i myślenia, ale wam to zaczęło za- nadto już ciężyć i budzić zawiść tak, że chcecie się tego wszystkiego pozbyć. A obcy, niby, zniosą to tem łatwiej? Ani mowy, obywatele! I ładnym ja miał życie; tak pójść na wygnanie, człowiekowi w tym wieku, włóczyć się z miasta do miasta, czekać, aż go znowu skądeś wyrzucą. Jestem przekonany, że dokądkolwiekbym przyszedł, młodzież będzie słuchała moich rozmów, tak samo, jak tutaj. Gdybym ich pędził od siebie, oni się sami postarają o wygnanie mnie z miasta, namówią starszych, a jeśli ich nie będę pędził, to mnie wygnają ich ojcowie i bliscy, ze względu na nich samych.

Więc pewnie ktoś powie: „A nic nie gadać i cicho

XXVIII

siedzieć, ty nie potrafisz, Sokratesie, jak sobie od nas pójdziesz na wygnanie?“ Otóż to właśnie! O tem najtrudniej przekonać niejednego z was. Bo jeżeli powiem, że to jest nieposłuszeństwo względem boga i ja dla tego nie mogę siedzieć cicho, to mi nie uwierzycie; powiecie, że to drwiny. A jeżeli powiem, że to właśnie jest też i największe dobro dla człowieka: każdego dnia tak rozprawić o dzielności i o innych rzeczach, o których słyszycie, że i ja sam rozmawiam i własne i cudze zdania rozstrząsam, a bezmyślnem życiem żyć człowiekowi nie warto, jeśli to powiem, to tem mniej mi będziecie wierzyli. Ale to tak jest, jak mówię, obywatele; tylko przekonać kogoś o tem nie jest łatwo.

Pozatem, nie zwykłem się uważać za człowieka, któremuby się coś złego należało.

Więc, gdybym miał pieniądze, byłbym był proponował grzywnę, którąby mi wypadło zapłacić. Toby mi zupełnie nie szkodziło. Tymczasem tak — no, nie mam, chyba tyle, ilebym potrafił zapłacić, na tyle może zechcecie mnie skazać? Jabym może mógł zapłacić wam... minę srebrem. Więc tyle proponuję.

Tymczasem ten tutaj Platon, obywatele, Kriton, Kritobulos i Apollodoros proszą mnie, żebym proponował trzydzieści min; mówią, że sami ręką za spłatę. Więc proponuję tyle. Porękę za srebro będziecie mieli pewną.

XXIX

Dla tych paru a bardzo już niewielu lat, będziecie, obywatele, osławieni i kto tylko zechce, będzie mógł miasto hańbić, żeście zabili Sokratesa, mędrca. Bo

będą o mnie mówili, że jestem mędrcom, jakkolwiek nim nie jestem, ci, którzy zechcą wam uwłaczać. Gdybyście byli poczekali niedługo, czas jakiś, byłoby wam to i tak samo z siebie przyszło. Widzicie przecież mój wiek, że to już życia dużo poza mną, a śmierć blisko. Nie mówię tego do was wszystkich, ale do tych, którzy wotowali dla mnie śmierć. A jeszcze i to powiem; także tylko do nich: wy może myślicie, obywatele, że ja przegrywam, dlatego, bo za mało mam argumentów takich, któremiby wam potrafił przekonać, gdybym sądził, że trzeba wszystko możliwe zrobić i mówić, byle wyroku uniknąć. Ani mowy. Przegrywam, bo za mało mam nie argumentów, tylko bezwstydu i bezczelności i zbyt mało mi się chce mówić wam takich rzeczy, których wybyście słuchali najchętniej: gdybym tu płakał i jęczał i gdybym niewiedomo co wyprawiał i mówił rzeczy poniżej mojej godności, jak ja uważam, takie, jakieście zwykli słyszeć od innych. Tymczasem ja ani przedtem nie uważałem za stosowne robić niczego podłego z uwagi na niebezpieczeństwo, ani mi teraz żal, że w ten sposób bronił; wolę zginąć po takiej obronie, niż tamtym sposobem żyć. Bo ani w sądzie, ani w wojnie, ani ja, ani ktokolwiek inny nie powinien o tem przemyślać, żeby śmierci ująć, wszystko jedno, jak. Przecież i w bitwach często najwidoczniej można śmierci uniknąć, jeżeli ktoś porzuci broję, albo się z prośbami zwróci do ścigających. W każdym niebezpieczeństwie jest wiele różnych sposobów na to, żeby się śmierci wymigać, jeżeli ktoś ma odwagę, wszystko jedno co, robić i mówić.

Więc nie to jest rzecz trudna, obywatele: uniknąć śmierci; znacznie trudniej: zbrodni. Bo zbrodnia biegnie prędzej, niż śmierć. Tak też i teraz; ja tam powoli chodzę, zwyczajnie jak to starzec, to też mnie to powolniejsze zgoniło; a moi oskarżyciele to figury nielada i ostre, więc ich to, co szybsze: zbrodnia. I teraz ja odchodzę, w oczach waszych winien kary śmierci; oni w oczach prawdy winni zbrodni i krzywdy. I ja się doczekam kary i oni. A to może właśnie i tak się było powinno stać; ja też myślę, że to właśnie w sam raz tak, jak jest.

XXX A teraz pragnąłbym wam coś przepowiedzieć, wy, którzyście mnie skazali. Jestem przecież u tego kresu, przy którym ludzie najczęściej wieszczą zwykli: kiedy mają umrzeć.

Przepowiadam wam więc, obywatele, którzyście mnie zabili, że przyjdzie na was kara zaraz po mojej śmierci, znacznie cięższa, na Dzeusa, niż ta, którą mnie zabijacie. Bo wyście to dziś popełnili myśląc, że się pozbędziecie ciągłego rachunku sumienia w życiu; tymczasem wypadnie wam coś całkiem przeciwnego. Powiadam wam. Więcej się znajdzie takich, którzy was oskarżać będą; ci, których ja teraz byłem natchnieniem, a wyście tego nie widzieli. Będą tem przykrzejsi, im są młodszy; to też was będą znacznie więcej oburzali.

Jeżeli sądzicie, że zabijając ludzi powstrzymacie kogoś od tego, żeby was nie ganił i nie łajał, że nie żyjecie jak się należy, to nie widzicie rzeczy, jak należy. Bo pozbywać się tego w taki sposób, jak wy, to ani podobna, ani to pięknie; najłatwiej i najpię-

kniej nie gnębić drugich, ale samemu nad sobą pracować, żeby być możliwie jak najlepszym. Tyle słów wieszczby na pożegnanie z tymi, którzy mnie skazali.

Z tymi zaś, którzy głosowali za mną, chętniebym porozmawiał o tem, co się tu stało, podczas gdy władza jeszcze zajęta i nie odchodzę tam, dokąd poszedłszy umrzeć mi potrzeba. Więc poczekajcie ze mną tę chwilę. Możemy sobie jeszcze trochę pogadać, póki wolno. Bo ja wam chcę, jak przyjaciółom, wytłumaczyć tę dzisiejszą moją przygodę, co ona znaczy. Bo mnie się, sędziowie, — przecież was, jeżeli sędziami nazywam, to nie nadużywam wyrazu — mnie się przydarzyła rzecz dziwna. XXXI

Ten mój, zwyczajny, wieszczczy głos (głos ducha) zawsze przedtem i to bardzo często się u mnie odzywał a sprzeciwiał mi się w drobnostkach nawet, ilekroć miałem coś zrobić, nie jak należy. No, a teraz mi się przydarzyło, widzicie przecież sami, to tutaj, co niejeden uważa może i naprawdę uważa za ostateczne nieszczęście. A tymczasem mnie ani, kiedym rano z domu wychodził, nie sprzeciwiał się ten znak boga, ani, kiedym tu na górę szedł, do sądu, ani podczas mowy nigdzie, kiedym cokolwiek miał powiedzieć. A przecież w innych mowach, to nieraz mi, bywało, przerwie w środku słowa. Tymczasem teraz nigdzie w tej całej historii, ani w postępowaniu mojem, ani w mowie nic mi oporu nie stawia. A cóż to, myślę, będzie za przyczyna? Ja wam powiem: zdaje się, że ta przygoda jest właśnie czemś dobrem dla mnie; niepodobna, żebyśmy

słuszność mieli my, którzy przypuszczamy, że śmierć jest czemś złem. Mam na to wielkie świadectwo. Bo nie może być, żeby mi się nie sprzeciwił mój zwyczajny znak, gdybym nie był miał zrobić czegoś dobrego.

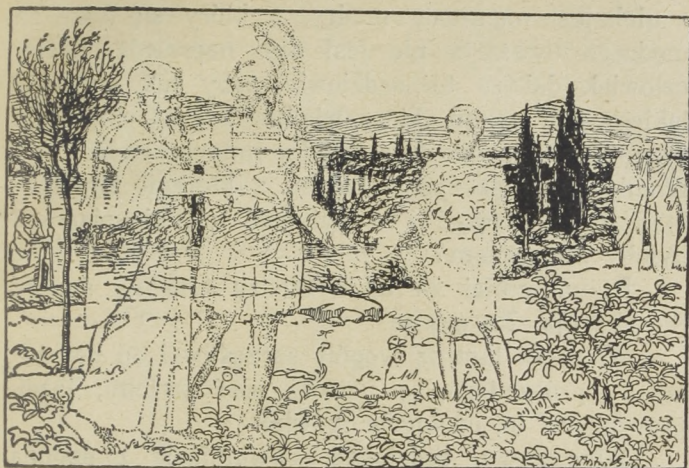
XXXII

A zastanówmy się i nad tem, jak wielka jest nadzieja, że to coś dobrego. Otóż jednym z dwóch jest śmierć. Bo albo tam niejako nic niema i człowiek po śmierci nawet wrażeń żadnych nie odbiera od niczego, albo jest to, jak mówią, przeobrażenie jakieś i przeprowadzka duszy stąd na inne miejsce. Jeśli to brak wrażeń, jeśli to coś, jak sen, kiedy ktoś, śpiąc, nawet widziadeł sennych nie ogląda żadnych, toż przedziwnym zyskiem byłaby śmierć. Bo zdaje mi się, że, gdyby ktoś miał wybrać w myśli taką noc, w której tak twardo zasnął, że nawet mu się nic nie śniło i inne noce i dni własnego życia miał z nią zestawić i zastanowiwszy się powiedzieć, ile też dni i nocy przeżył lepiej i przyjemniej od tamtej, to myślę, że nie jakiś prywatny człowiek, ale nawet wielki król znalazłby, że na palcach policzyłby je można w porównaniu do tamtych innych dni i nocy.

Więc, jeżeli śmierć jest czemś w tym rodzaju, to ja ją mam za czysty zysk. Toż wtedy cały czas nie wydaje się ani odrobinę dłuższy, niż jedna noc.

Jeżeli zaś śmierć, to niby przesiedlenie się duszy stąd na inne miejsce i jeżeli to prawda, co mówią, że tam są wszyscy umarli, to jakież może być większe dobro po nad nią, sędziowie!

Przecież, jeżeli ktoś do Hadesu przybędzie, po-



żegnawszy się na zawsze z tymi rzekomymi sędziami i znajdzie tam sędziów prawdziwych, jak to i mówią, że tam sądy odprawia Minos i Radamantys i Ajakos i Triptolemos, i innych półbogów, którzy za życia swego byli sprawiedliwi — to czyż to nie miła przeprowadzka? Albo tak spotkać Orfeusza i Muzajosa i Hezjoda i Homera, ileżby, niejeden z was dał za to? Toż ja chcę częściej umierać, jeżeli to wszystko prawda.

Przecież i ja przedziwne miałbym tam rozmowy, ilekroćbym spotkał Palamedesa i Ajasa, syna Telamona i jeśli ktoś inny ze starożytnych padł z niesprawiedliwego wyroku, to porównywać swoje losy i ich cierpienia byłoby, myślę, wcale przyjemnie. A największa przyjemność byłaby ich tam badać i dochodzić ustawicznie tak, jak tych tutaj, który też

z nich jest naprawdę mądry, a który się tylko za mądrego uważa a nie jest nim naprawdę. Ileżby człowiek dał za to, sędziowie, żeby tak wy badać takiego Odysseusa, który wielkie wojsko pod Troję przyprowadził, albo Syzyfa, albo innych bez liku wymieni ktoś mężczyzn i kobiet, z którymi tam rozmawiać i obcować i wypytywać ich nieopisanem byłoby szczęściem?

Przynajmniej za takie rzeczy tam na śmierć nie skazują. To pewna.

Więc oni tam są wogóle szczęśliwsi od nas tutaj, a oprócz tego, są jeszcze nieśmiertelni, jeżeli prawdą jest to, co ludzie mówią.

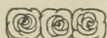
XXXIII

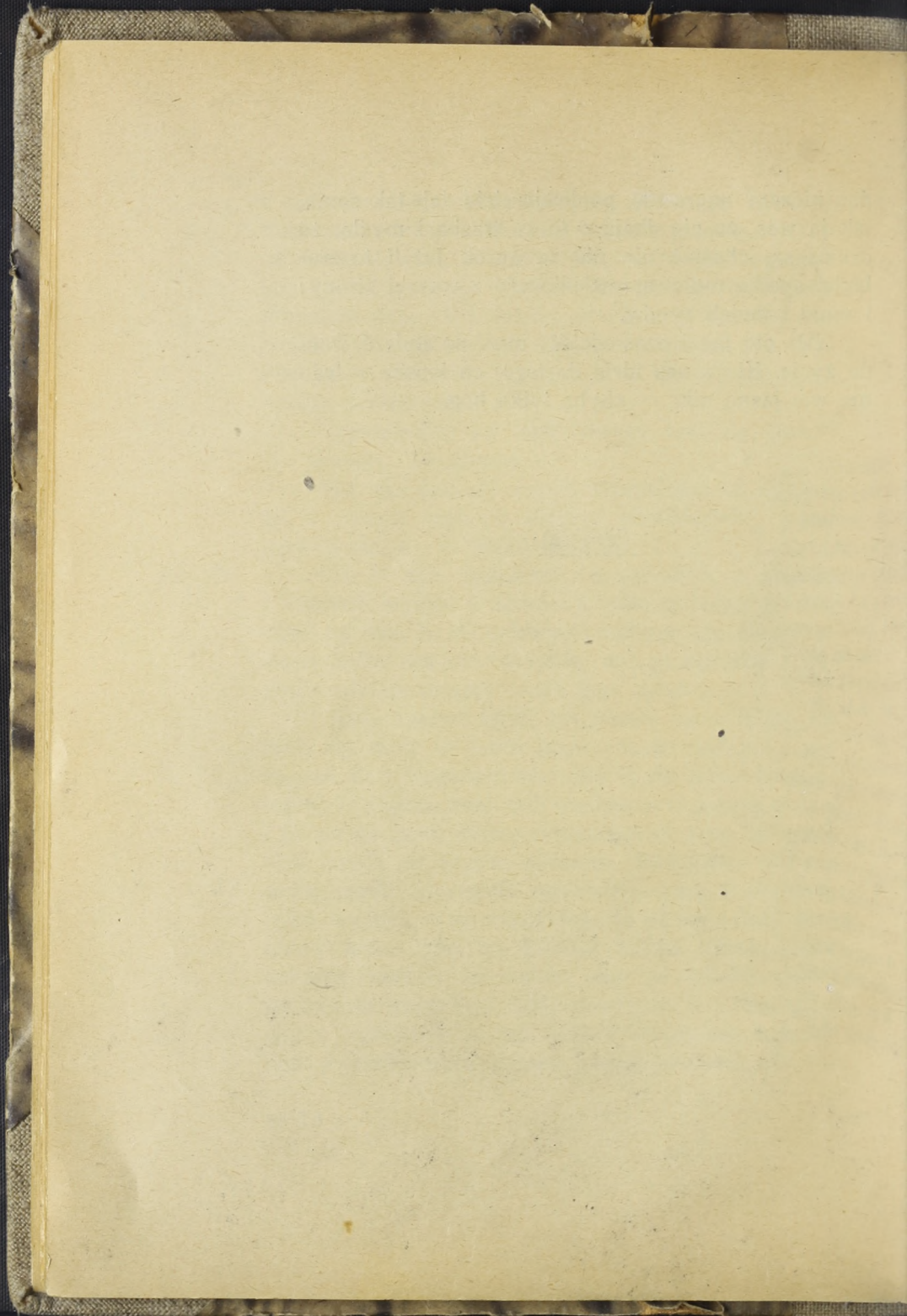
Więc i wy, sędziowie, powinniście z pogodą i nadzieją myśleć o śmierci a tylko tę jedną prawdę mieć na oku, że do człowieka dobrego nie ma przystępu żadne zło ani za życia, ani po śmierci, a bogowie nie spuszczaają z oka jego sprawy.

I moja sprawa także nie poszła sama takim torem; dla mnie to rzecz jasna, że umrzeć już i pożegnać się z kłopotami życia lepiej dla mnie. Dlatego też mnie nigdzie znak mój nie kierował w inną stronę i ja się na tych, którzy mnie skazali, i na oskarżycieli moich nie bardzo gniewam. Jakkolwiek oni nie w tej myśli głosowali przeciwko mnie i skarżyli, tylko myśleli, że mi zaszkodzą. To im też należy zganić. O jedno tylko ich proszę: synów moich, kiedy dorosną, karzcie obywatele, dręcząc ich tak samo, jak ja was dręczyłem, jeśli zobaczycie, że o pieniądze, czy o cokolwiek innego więcej dbają, niż o dzielność i jeśli by mieli pozory jakiejś wartości, nie bę-

dąc niczem naprawdę, poniewierajcie ich tak samo,
jak ja was, że nie dbają o to, co trzeba i myślą, że
czemś są, chociaż nic nie są warci. Jeżeli to zro-
bicie, spotka mnie sprawiedliwość z waszej strony;
i mnie i moich synów.

Ale oto już i czas odejść; mnie na śmierć, wam
do życia. Kto z nas idzie do tego, co lepsze — tego
nie wie jasno nikt — chyba tylko bóg.





OBJAŚNIENIA

Sokrates wie, jak bardzo jego sposób bycia i mówienia odbija od ustalonych form; czuje, że mu jego swobodę i prostotę wezmą za lekceważenie sądu. Zgóry za to przeprasza, ale równocześnie zaznacza, że sędzia ma obowiązek szanować indywidualną formę, a on ma prawo być sobą, nawet i teraz. Jest w jego słowach raczej upomnienie, niż prośba.

Z miejsca stawia sprawę na niewłaściwej platformie. Patrzy na to, czy oskarżyciele mówili prawdę i na to tylko każe zważać sędziom. Ależ zupełnie nie szło o prawdę, tylko o utracenie kogoś z ramienia stronnictwa demokratycznego. Meletos był odkomenderowany do tego, żeby przeprowadzić czyn polityczny, a nie badanie naukowe.

Że kłamał, to każdy polityk ateński mógł wiedzieć zgóry, ale nie szło o to, czy kłamię — wolno było i Sokratesowi kłamać, jeżeli chciał żyć. To było naturalne w Atenach, że każdy kłamał, jak umiał i jak potrzebował; szło tylko o to, czy kłamał w interesie demokracji, czy oligarchji. I nie tylko w Atenach.

W tej atmosferze moralnej dziwnym blaskiem świecą pierwsze słowa Sokratesa. Z jednej strony

I
PRAWDA
A WALKA
INTERESÓW

wyglądają na naiwność człowieka apolitycznego, z drugiej przypominają scenę śledztwa o 430 lat późniejszą, między Jezusem a Piłatem. I tam był proces polityczny i skarga o bezbożność jako pozór, a oskarżony na śledztwie stał na stanowisku prawdy. Obaj też na tej placówce padli. Piłat nie był ani pierwszym ani ostatnim z tych, którzy z uśmiechem politowania i niechęci patrzą na obrońców prawdy w walce interesów.

II Sokrates widzi, że skarga dzisiejsza może znaleźć posłuch tylko na tle ustalonej opinii ujemnej, jaką sobie w szerokich kołach wyrobił od lat kilkadziesiąt. Powszechnie uchodził za ulicznego sofistę i bezbożnika. Naprzód więc, zanim się oskarżeniem dzisiejszem zajmie, chce sprostować owe ustalone opinie. Czuje, że to przedsięwzięcie daremne. Z nim trzeba było żyć zbliżona i być zdolnym, młodym człowiekiem, żeby go poznać i pokochać, a nie zostać wylosowanym na sędziego i przyjść słuchać go bez przygotowania po raz pierwszy w życiu, a pod wrażeniem bezimiennych opinii i wymownych słów oskarżycieli. Stąd rezygnacja Sokratesa przy końcu rozdziału i coś jakby skok w głąbię z zamkniętymi oczyma.

III Nie traci jednak humoru. Sam formułuje swą złą sławę stylem skargi sądowej, jakby poddawał Meletosowi, że i o to mógł go równie dobrze oskarżyć: o heretyckie spekulacje przyrodnicze i osławione metody logiczne współczesnych solistów. Do tego dalby się również doskonale dołączyć frazes o gorszeniu młodzieży. Jeśliby wołał, to mógłby mu

z równem powodzeniem zarzucić lekceważenie dla poważnych badań przyrodniczych, bo przecież to tak było obojętne w gruncie rzeczy, jak brzmieć miała skarga. Treść jej jest fałszywa. On się fizyką wogóle nie interesował.

Za uczenie kogokolwiek rzeczy zdrożnych odpowiadać nie może, bo żadnych lekcyj nie udzielał i nikogo nie obowiązywał się uczyć. Teraz mówi płynnie i swobodnie. Ironizuje tych, którzy się obowiązują wyuczać młodzież dzielności, a nie dorośli do tego zadania i tych, którzy w naiwności swej biorą autokremlę instytutów wychowawczych za dobrą monetę. Przecież, żeby się ktoś stał naprawdę dzielnym człowiekiem, musi naprzód sam przynieść odpowiednie zdolności na świat, a potem spotkać człowieka naprawdę mądrego, któryby wiedział, co to jest dzielność i wychowanie. To rzecz bardzo trudna i rzadka.

Czyż zatem możliwe jest wychowanie poważne, jako przemysł i źródło zarobku?! Owe liczne prywatne instytuty wychowawcze, które za stosunkowo niewielkie pieniądze obowiązują się z poważną miną wyprowadzać nieprzebraną młodzież na dzielnych obywateli, to są zarobkowe przedsiębiorstwa sprytnych jednostek, które, wywieszając frazes obywatelski, spekulują na naiwności i ambicji szerokich kół. Nie tylko w Atenach.

Znowu nieporozumienie między Sokratesem a sędziami. Bo nie na to się dzieci do szkół posyłało, żeby zaraz były naprawdę dzielnymi ludźmi, tylko żeby jedno z drugim „wyszło na człowieka“

IV
DRWINY
Z TŁUMU
I JEGO WY-
CHOWAWCÓW

i dało sobie radę w życiu. O powodzenie szło; nie o prawdę i doskonałość prawdziwą. A z tego punktu widzenia możliwy jest „przemysł wychowawczy“ i handel. Sokrates jednak tego przemysłu nie uprawiał zgola.

V
BÓG MU KA-
ZAŁ ŚCIĞAĆ
WSZELKĄ
PLYTKOŚĆ

„Już tam coś na tem być musi, co o nim gadają. Bo czemu takich rzeczy nie mówią o mnie, albo o tobie?“ odezwał się z cicha sędzia rzeźnik do sklepikarza. Może ich dosłyszał Sokrates, bo oto, podejmuje tę myśl z osobliwym uśmiechem na twarzy. Teraz mówi tak, jak do dzieci, a chce im to tylko powiedzieć: „Nienawidzicie mnie, bo, choć jestem głupi, sam to wiem najlepiej, to wyście jeszcze głupszi odemnie, a prócz tego, zarozumiali. Nie drażniłbym was, gdybym był do was podobny“. Temat nieco trudny do powiedzenia; szczególnie, jeśli to ma powiedzieć oskarżony sędziom. Na szczęście, przypomina mu się Chajrefon i odpowiedź, którą przyniósł od Apollina z Delf. Dobrze. Świadkiem przeciw Meletosowi niech będzie Apollo, choćby miały być o to krzyki w audytorjum. A będą też pomruki z chwilą, kiedy tłum odczuje treść i kierunek słów.

VI Sokrates podaje swą pogardę dla tłumy po kropli. Naprzód się przekonał o głupocie i zarozumiałości jednego polityka, a potem innego. Ależ w demokratycznych Atenach chyba każdy był politykiem.

VII Ogranicza jednak swój sąd ujemny tylko do najznacniejszych jednostek w mieście. Ci mu się przedstawiali najgorzej, ale ci też mieli wpływ naj-

większy i potrafili mu się odwdziżyć za jego studja obyczajowe.

Studja te przedstawia Sokrates jako służbę bożą, jak gdyby je odbywał na rozkaz Apollina; jednakże wyrocznia nie kazała mu wcale zaczepiać ludzi. Przeciwnie, stwierdziła, że jest najmądrzejszy ze wszystkich; on sam, nie chcąc temu wierzyć i nie rozumiejąc tej oceny, próbował boga przekonać, że się jego Pytja pomyliła. To podwójne oświecenie sprawy nasuwa przypuszczenie, że dla Sokratesa słowa wyroczni stanowiły wprawdzie jedną więcej pobudkę do znanych studjów nad charakterami i do słownych walk z powagami miejskimi, ale dosłownie tej służby bożej on sam nie bierze. Raczej postępuje się tym zwrotem jako przenośnią i robi to świadomie z łagodnym uśmiechem tak, jak się dzieciom o świętym Mikołaju opowiada.

Sokrates czuł silny popęd do takiego, a nie innego sposobu życia i działania. Szanował go i nazywał głosem bożym. Boga czując we własnej piersi, nie potrzebował go aż z Delfów. Doskonale, nieprzedawnione uwagi o artystach i twórczości artystycznej.

Ci przecież pisząc i zestawiając słowa i zwroty, przetwarzają nieraz zupełnie nieodpowiedzialnie energję, jaką w słowach i zwrotach nagromadziły pokolenia minione, które tworzyły język. Rzucić słowo ojczyzna, lub wolność, śmierć, lub wojna, to jak potrącić fortepian po dziadach odziedziczony, w którym niezliczone struny brzmią przypadkowym akordem. Prócz tego, nie podobna żądać od każdego, kto

dobrze pisze, żeby umiał dokonać analizy swego utworu; podobnie, jak się nie żąda od człowieka, który się dobrze poci, żeby umiał przeprowadzać analizę potu. Sokrates ma zupełną słuszość, poezja nie jest wyłącznie wytworem rozumu, ani czynność poety czynnością w całej pełni świadomą i odpowiedzialną.

VIII U rzemieślników dopiero znalazł filozof wiedzę rzeczową w sprawach zawodowych, a zarozumiałość i brak samokrytyki na wszelkich innych polach. Rzeczowej wiedzy wymagał od każdego, a polor literacki i retoryczny uważał za okrasę wykształcenia; nigdy za jego treść. Przeciwnie sofiści.

IX Sokratesa zawodem pobudzanie myśli krytycznej w poszczególnych jednostkach. Uprawia go z poświęceniem wszelkich korzyści osobistych.

X Bezwiednie też oddziaływa na młodzież, znajduje mniej lub więcej szczęśliwych współpracowników. Praca ich wszystkich budzi jednak tylko niechęć publiczną i psuje opinię filozofa. Między sokratykami i resztą Ateńczyków zachodzi zupełne nieporozumienie. Rzecz jasna, że nieporozumienia tego nie potrafiły też usunąć dotychczasowe słowa Sokratesa.

XI Program odpowiedzi Meletosowi. Sokrates nie bierze serjo tego przeciwnika, chce go ośmieszyć, pokazać sędziom, że się młody człowiek zupełnie nie orientuje w przedmiocie swej skargi. Sokrates chce sobie zażartować z ambitnego młodzika. Nawiąże z nim dialog humorystyczny. Będzie igrał jego nazwiskiem, któreby na polskie tłumaczyć wy-

INTERMEZZO
Z MELETOSEM
I JEGO
WARTOŚĆ
OBRONNĄ

padało: Dbaliński, Troska, albo Zależnicki, skąd ka-
lambury z jego troską o wychowanie i t. p. rzeczy
nie do oddania w języku polskim, jeżeli się znane
nazwisko Meletos zostawi nieprzetłumaczone w brzmi-
niu greckiem.

Meletos liczy się do przesady z opinią i schle-
bia z przyzwyczajenia tłumowi; nie śmie ryzykować XII
twierdzenia, jakoby ktoś w Atenach nie umiał wy-
chowować młodzieży z wyjątkiem jednego Sokra-
tesa. To ma być jedyny gorszytel. Sokrates nato-
miast ryzykuje analogję z hodowli koni, skąd wy-
nika, że tłum nieprzebrany nie może dodatnio
wpływać na młodzież. Nie wynika stąd jednak zu-
pełnie, żeby i Sokrates nie psuł młodzieży. Filozof
musiałby dla ścisłości dowieść dopiero teraz, że
sam nie jest jednym z tych wielu, którzy psują,
a jest tym „ujeżdżaczem“, który się zna na wycho-
waniu. Ale nie robi tego wcale. Nie chce dowodzić
w tej chwili swej niewinności, tylko zapędzić Mele-
tosa w kozi róg.

Ten ustęp swej obrony opiera Sokrates na za-
łożeniu, że żaden przezorny człowiek nie może XIII
umyślnie psuć najbliższego otoczenia, bo wie, że
toby zagrażało jemu samemu. Założenie niesłuszne,
bo nie każdy popsuty szkodzi swemu gorszytelowi.
To jedno. A drugie, to wieloznaczność wyrazu „gor-
szyć“, który różni różnie wezmą. Jasne musiało być
każdemu, że gdyby Sokrates np. uczył młodych
Ateńczyków sympatyzować ze Spartą, a unikać rynku
ateńskiego, to jemu samemu nie zagrażałoby to
żadną krzywdą ze strony tych młodych ludzi, nie-

wątpliwie popsutych w pojęciu dobrego demokrata. Ten punkt zatem słaby; mocniejszy drugi: nieumyślnego „psucia“ nie powinno się zwalczać z pomocą sądu, tylko z pomocą argumentów. Chociaż i na mimowolną, a szkodliwą działalność argumenty nie zawsze są dostatecznym lekarstwem.

XIV Kompromituje się Meletos, podsuwając Sokratesowi teorie kosmologiczne Anaksagorasa. Dowiedzieć się o nich mogli młodzi ludzie z przedstawień tragedji Euripidesa w teatrze. Zarzut bezwzględnego ateizmu ma być sprzeczny w sobie. Ale też tego zarzutu nie było w skardze. Sokrates powinienby właściwie wykazać, że uznaje państwowe bóstwa ateńskie, bo o to go oskarżono, że tych określonych bóstw nie uznaje, on natomiast doprowadza Meletosa do rozszerzenia zarzutu i tylko ten rozszerzony zarzut odpiera w następnym rozdziale.

XV Ktokolwiek wierzy w dzieci bogów, wierzy tem samem i w bogów. Ja wierzę w duchy, które są dziećmi bogów, zatem wierzę w bogów samych. Mniejsza o to, w jakich. Tak dowodzi Sokrates. Tem samem nie odpiera skargi. Nie może jej odeprzeć. Jego wiara nie była wiarą państwową.

XVI Mniejsza wkońcu o Meletosa, powiada Sokrates, jak gdyby czuł, że nie odpowiedział dostatecznie na jego zarzut. Równocześnie wraca do swoich pierwszych uwag: nie Meletos go zgubi, ale ogólna niechęć tłumu. Przeczucie wyroku śmierci po niewystarczającej obronie wypowiada się w szeregu zdań. Przeczucie śmierci niezaszczytnej, bo nie w polu, ale w więzieniu, z ręki kata. Tak przynajmniej oce-

WIDMO
ŚMIERCI NIE
PRZESTRASZA
GO, TYLKO
PODNECHA

nia te rzeczy tłum. Bunt się w nim budzi i duma w nim wstaje. Śmierć jego będzie zaszczytna, achillesowa, bo poniesiona w służbie wyższych władz.

Śmierć mu mniej straszna jak zaniedbanie tego posłannictwa, które mu każe bezwarunkowo odwracać ludzi od bezmyślnego życia praktycznego, a skierowywać do pracy moralnej nad sobą. XVII

Akcenty zaciętości budzą oburzenie audytorjum. XVIII
On tem silniej uderza w tony dumy i wyższości ponad otoczenie. Z humorem i zuchwale porównywa Ateny do konia zaspanego. Ale trafnie.

Duch opiekuńczy odradzał mu politycznej działalności, oraz instynkt samozachowawczy opozycjonisty w stosunku do bezwzględnej, potężnej demokracji konserwatywnej. Chciał żyć i chciał działać dalej, jak dotąd. XIX

Do polityki się mieszać nie mógł, chcąc pozostać sobą i nie zginąć, bo polityka byłaby wymagała od niego ofiary z przekonań, czego on poświęcać nie umiał, nawet kiedy szło o życie. Tembardziej więc musieli go nieprzyjaciele chcieć usunąć. XX

Wbrew przekonaniu nie ustępował i nie schlebiał nikomu, a najmniej uczniom, których właściwie nie miał, bo niczym wychowawcą odpowiedzialnym nie był. XXI

Psuć jednak młodzież mógł w pojęciu swych nieprzyjaciół, bo na to nie potrzeba zupełnie być płatnym nauczycielem i odpowiedzialnym.

Za niewinnością jego przemawia sympatja sze- XXII

regu starszych i nieuprzedzonych obywateli, którzy go znają bliżej.

„Na tych więc należałoby mieć baczne oko“ — tak myśleli równocześnie niechętni z pośród sędziów.

XXIII

Przedrwiwa tych, którzy łzami trafiają do sumienia sądu; sam się czegoś podobnego wstydzi. Wyczerpał argumenty i czuje, że nie do wszystkich trafił. Śmierć w oczach staje się już wyraźniejsza, niż w rozdziale drugim. Więc tembardziej podnosi głowę: nie upokorzę się przed wami.

XXIV

Raz jeszcze żąda obiektywności, pozbycia się uprzedzeń i zaparcia się sympatyj i antypatyj osobistych od tłumu, w którym tak mało miał sympatji, a jeszcze mniej zrozumienia. Apel beznadziejny.

WINIEN

Z niepokojem oczekiwali teraz przyjaciele Sokratesa wyniku głosowania. Po obliczeniu głosów, znaleziono 280 gałek czarnych i 220 białych. Uznany zatem został za winnego większością sześćdziesięciu głosów. Gdyby trzydziestu sędziów było głosowało przeciwnie, byłby był uzyskał 250 za i 250 przeciw i tem samem wyszedłby wolny do domu. W tej chwili jednak staje wobec faktu skazania. Meletos może triumfować. W oczach przyjaciół zgroza.

XXV

Sokrates sili się na spokój. On to potrafi. Spodziewał się jeszcze gorszego wyniku głosowania. Tak; po mowach oskarżycieli, ale nie przed rozprawą. A po wygłoszeniu obrony nikt chyba nie mógł napewno twierdzić, jak wyrok wypadnie. Przecież Meletos pogrążył się w dialogu prowadzonym na sali. Do zupełnie złych przeczuć nie miał powodu i Sokrates. Żartuje teraz, mówiąc, że Meletos

nie uzyskał piątej części głosów. Oczywiście, że podzieliwszy tych 280, które Sokratesa skazały, przez trzy, odpowiednio do trzech oskarżycieli, nie uzyskamy setki, ale dzielenie opiera się na żartobliwej fikcji Sokratesa, że za każdym z trzech oskarżycieli stoi trzecia część niechętnych mu sędziów, którzyby byli głosowali przeciwnie, gdyby ich nie był pociągnął dany oskarżyciel. Za tym pozornym spokojem i żartami filozofa kryje się coś zupełnie innego.

Straszna gorycz. Sokrates streszcza swą działalność intelektualistyczną i przeciwstawia ją poziomemu życiu materialnemu Aten. Drażni sędziów zawziętością i dumą. Czuje, że, wyższym będąc od otoczenia, pada jednak z ręki ciemnego tłumu, który go nie rozumie i nie uznaje. W sposób niesłychany prowokuje trybunał, kiedy teraz, zamiast korzystać z dobrodziejstwa ustawy i prosić sędziów o wygnanie lub o karę pieniężną, on, znaczną większością uznany winnym zbrodni przeciw państwu, proponuje dla siebie za karę wikt w świętym gmachu miasta, gdzie tlił wieczny ogień Hestji i jadali na koszt państwa mężowie najbardziej zasłużeni, wraz z posłami obcych państw i zwycięzcami na igrzyskach olimpijskich.

Zdaje sobie sprawę z tego, jak zuchwale brzmią jego słowa, ale nie spuszcza z tonu. Stwierdza krótko swą niewinność, a niesprawiedliwy wyrok tłumaczy tem, że zamało go sędziowie znają i procedura karna jest mało warta. Sam nie uznaje teraz dla siebie innego wyjścia, jak tylko śmierć. Żadna inna kara mu nie odpowiada i żadnej nie czuje się

XXVI
ZABIJA SIĘ
SAM WŁA-
SNYM MIE-
CZEM IRONJI
I KONSEK-
WENCJI

XXVII

godnym. „Ten człowiek się sam zabija“, szepnął ktoś z przyjaciół drugiemu.

XXVIII

Sokrates stwierdza bezbrzeżne nieporozumienie między tłumem ateńskim a sobą. To mu jest oczywiste, że o porozumieniu mowy niema i koniec nastąpić musi. Na żart, a może na prośby przyjaciół, proponuje wkońcu grzywnę w kwocie jednej miny, czyli dziewięćdziesięciu przedwojennych franków i dopiero pod naciskiem najbliższych wnosi 30 min, czyli 2700 franków, ale i tę propozycję opatruje ironiczną uwagą o wypłacalności przyjaciół.

*

KATASTROFA

W drugim głosowaniu ośmdziesięciu sędziów przeszło na stronę Meletosa; zaczem obecnie padło za karą śmierci głosów aż 360, a zaledwie 140 przeciw niej. Dumnymi słowy swej drugiej mowy dowiódł Sokrates najlepiej, że nie uznawał bóstwa, które uznawało państwo: bóstwa Demosu, a wprowadzał inne duchy nowe, bo takiej obrony niesłychanej, jak jego dzisiejsza, nie pamiętano w Atenach. Tak nie traktował dotąd nikt Heliastów.

XXIX

SĘDZIOWIE
PRZED SĄDEM
SKAZANEGO

Spokojna wzdarda dla drapieżnego i głupiego pospółstwa. Gorycz i gniewem zdławione łzy. Sokrates wie, że trzeba być bez serca, żeby na śmierć skazywać ubogiego starca i dzielnego człowieka, który miał najlepsze pobudki swego nieznośnego trybu życia. Ale on się brzydzi litością. Raz jeszcze tylko stwierdza swą niewinność, a tem samym wyższość ponad ciemne figury oskarżycieli.

XXX

Przepowiada, że duch jego nie umrze, ale wstanie po jego śmierci w uczniach i następcach, któ-

rych stworzył za życia (Nie: „powstrzymywał“, jak ogólnie tłumaczą użyty tutaj wyraz κατεῖχον). Wie zatem, że miał uczniów, choć nie był niczym płatnym wychowawcą. Piętnuje brutalność walki, prowadzonej z pomocą maszyny państwowej, przeciw objawom i dążnościom ducha ludzkiego.

Jeszcze Archon Król i dwaj sekretarze kończą i podpisują protokół rozprawy; za chwilę mają skazanka oddać jedenastu zarządcom więzienia, którzy go każą odprowadzić do przeznaczonej celi. Sędziowie już się rozchodzą, oddają laski, odbierają taksy sądowe; Sokrates korzysta z chwili ostatniej, żeby się uśmiechem pożegnać z garstką życzliwych mu obywateli, których jeszcze widzi na ławach. Ostatnie spojrzenie wzgardy w stronę tych, którzy przeciw niemu głosowali. Nazywać ich sędziami, to nadużywać wyrazu.

Moment ważny, bo w Kritonie Sokrates znowu uważa się za prawnie skazanego. Więc albo udaje tam, albo się unosi tutaj, albo jedno i drugie. Teraz wyrok traktuje, jak dokonany zamach morderczy, a nie mylny akt sprawiedliwości.

Z tego, że nie odczuwał swoich zwyczajnych odruchów wstecznych, wnosi półżartem smutnym, że śmierć to dobra rzecz. Ależ jego wyrok zaskoczył. On płynął z prądem, zamknąwszy oczy i opuściwszy wiosła, aż do katarakty. Nic dziwnego, że milczał duch opiekuńczy.

Życie tak jest ciężkie, że, jeśli go za grobem niema wogóle, to niewielka strata, a jeśli tam jest życie takie, jakie Orficy opisują, to warto umrzeć.

XXXI

XXXII

ŁABĘDZI
ŚPIEW

To szczęście pośmiertne bierze jednak Sokrates bardzo ostrożnie i z uśmiechem. Zgoła nie jest go pewny. Półzartem o nim mówi.

Na myśl mu przychodzą postacie z podań trojańskich, które los spotkał podobny. Palamedes to mądry syn Naupliosa, króla Euboi, który zdemaskował Odysseusa, kiedy ten nie chcąc się wybrać pod Troję udawał obłąkanego. Przez zemstę podrzucił mu Odysseus na spótkę z Agamemnonem i Diomedesem do namiotu złoto i podrobiony list, niby od Priama pochodzący, a równocześnie oskarżył go o zdradę przed Grekami, którzy oskarżeniu uwierzyli i ukamienowali niewinnego bohatera.

Olbrzymi Ajas, syn Telamona, walczył pod Troją równie dzielnie jak Achilles, a kiedy po śmierci Achilleusa cudną zbroję poległego niesprawiedliwy sąd przyznał nie jemu, lecz Odysseusowi, Ajas z rozpaczy popadł w obłąkanie i zaczął mordować trzody baranów greckich, sądząc, że przeciwników swoich zwalcza. Oprzytomniał wkońcu, a widząc, co zrobił, przebił się sam ze wstydu własnym mieczem.

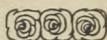
W obu tedy nazwiskach ukryta ironja. Rolę Odysseusa grają w procesie Sokratesa oskarżyciele. Podobnie, jak Palamedes demaskuje lenistwo Odysseusa, udającego obłąkanie, tak Sokrates, wyglądający niejednemu na obłąkanego, zawodowo demaskuje głupotę i lenistwo domorosłych Odysseusów. Jednego i drugiego tłum uśmierca niesprawiedliwie.

Barany Ajasa, czy to nie będą sędziowie, których Sokrates drażni i sam wkońcu śmierć własną powoduje? Nieraz się musiała Platonowi postać So-

kratesa zlewać niby we śnie w jedno z bohaterami
ojczystych myłów.

Pociesza się Sokrates poczuciem niewinności
i uczciwie spędzonego życia, wiarą w jakiś porządek
moralny w wszechświecie. Skoro dobrym ludziom
nie jest dobrze na ziemi, to chyba dobrze im musi
być za grobem. Jak smutno musi być filozofowi
przy całej jego pogodzie na twarzy! Dzieci mu na
myśl przychodzą. Najstarszy Lamprokles i malcy
Sofroniskos i Meneksenos, którym bóg zdolności nie
dał, a za to duże podobieństwo do matki Ksantippy.
Sierotami ich zostawi teraz; byle tylko nie ludźmi
takimi, jak ci liczni chciwi, drapieżni, ciemni a za-
rozumiali obywatele, którymi on gardzić musiał —
aż do śmierci.

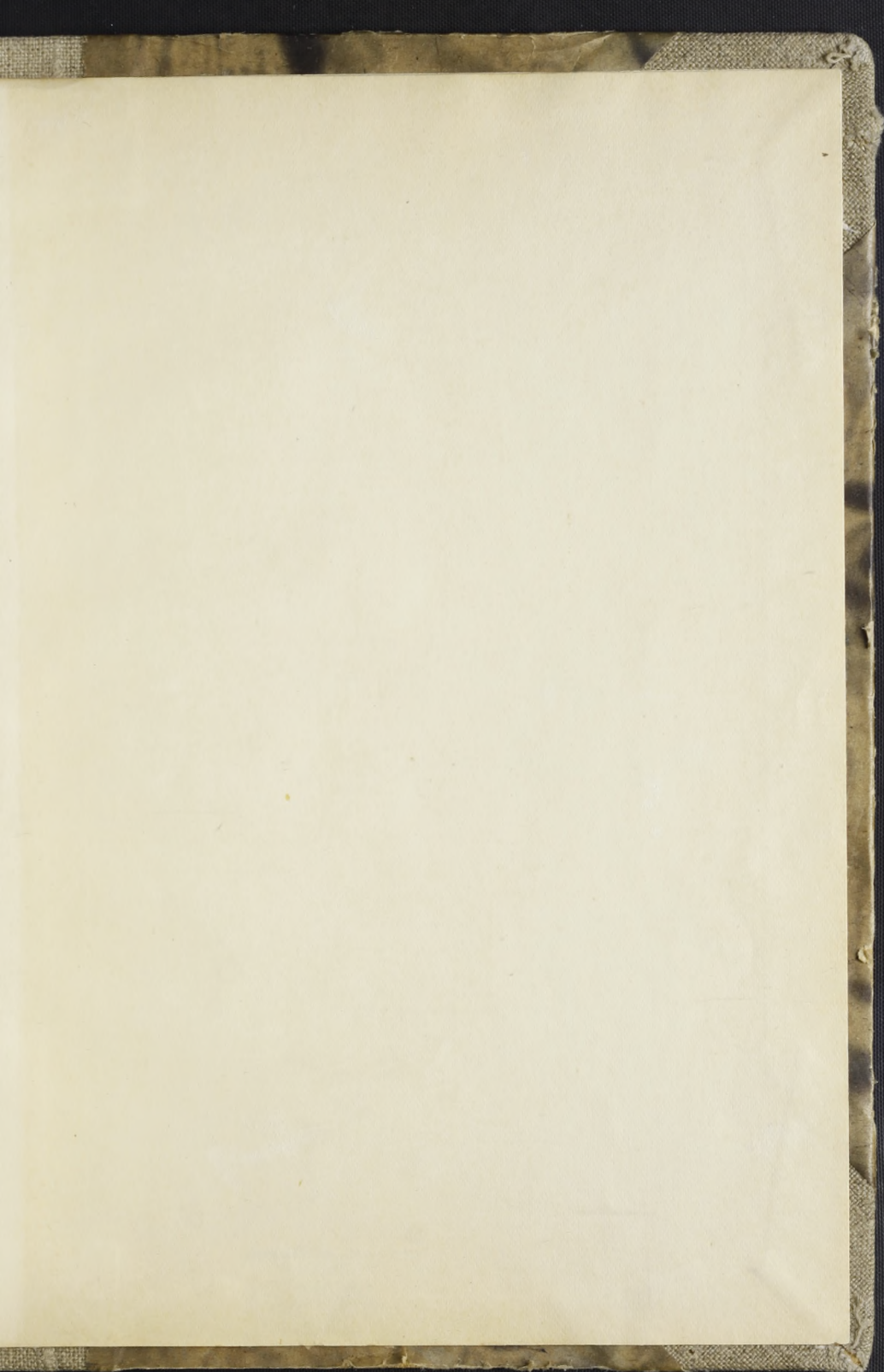
XXXIII

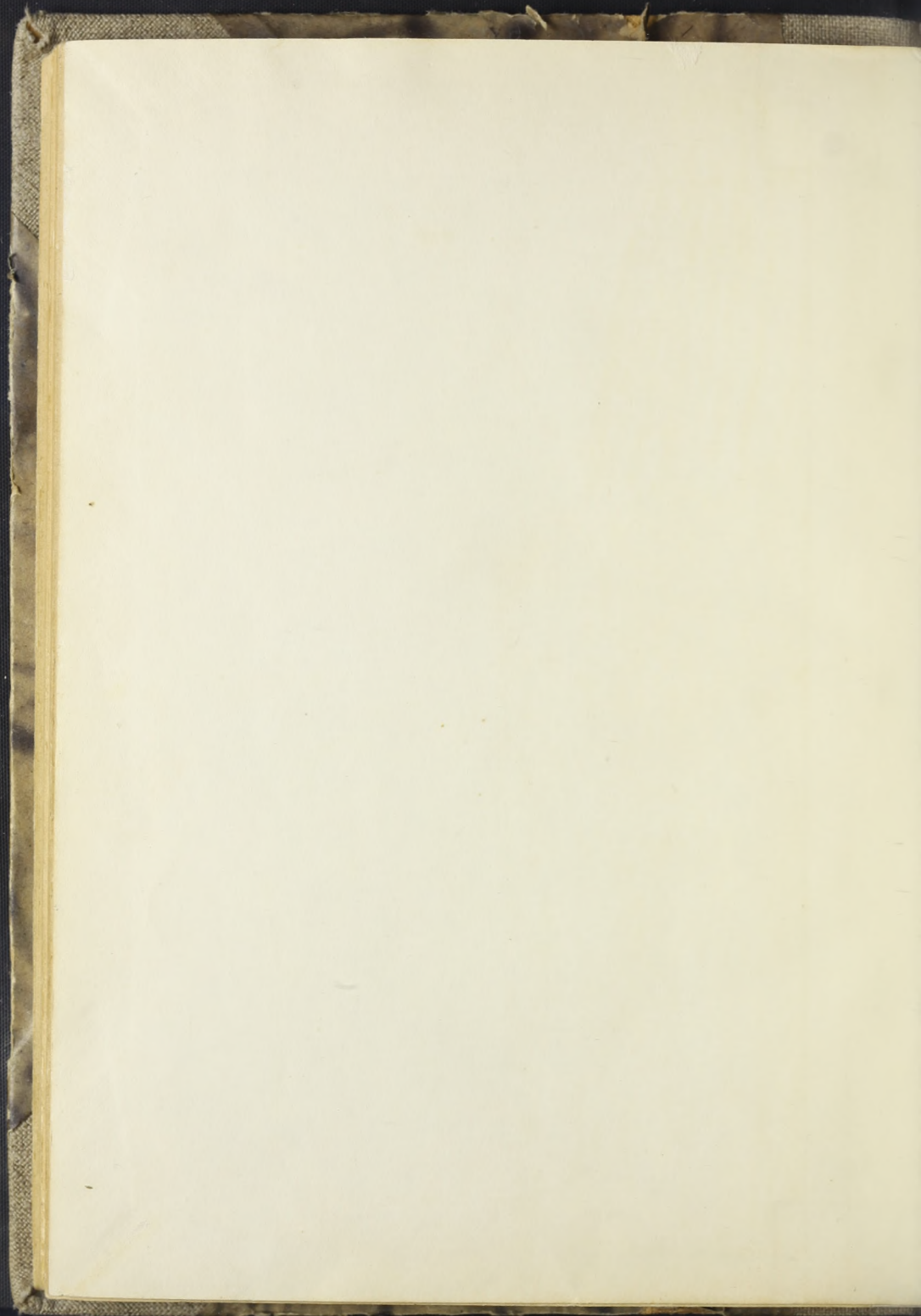


Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

— — — — —

4





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001025982211



198497

BIBLIOTEKA
NARODOWA